NR 39 (1963) 29 WRZEŚNIA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

45 LAT

Proj. Krzysztof Karnkowski

WROGIE PRZEJĘCIE uniwersytetu

- LUDZIE PRACY NA JASNEJ GÓRZE
- NA PRAWICY CIĘŻKO

TYSOL.PL

ISSN 0208-8045
9 770208 040450
39 INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

eprasa.pl e6696996e7

Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

Lata temu w pociągu jeden facet nazwał mnie „doktorkiem". Wtedy wziąłem to za dobrą monetę i się ucieszyłem. Dziś myślę, że musiałem mu nadepnąć na stopę albo uderzyć plecakiem w nos a on chciał mi tym doktorkiem oddać pięknym za nadobne. Bo im dłużej żyję, tym bardziej łapię się na myśli, że dziś bym się już jednak trochę wstydził, wpisując przed nazwiskiem literki „dr". Oczywiście bez kropki.

Nie chodzi tu oczywiście o sam doktorat. Miło by było usiąść sobie nad jakimś problemem i poświęcić kilka lat na gruntowne jego przebadanie. To zajęcie – nie powiem – pociągające. Kłopot stanowi raczej instytucja, w ramach której się takie rzeczy odbywają czyli tzw. uniwersytet.

Bo szkolnictwo wyższe przeszło w ostatnich kilkudziesięciu latach wiele przemian ale nie wyszło to akademii na dobre. Wraz z nastaniem III RP uniwersytet stał się szybko dostawcą „papierów", które miały zagwarantować ludziom lepszy status, lepsze zarobki i lepsze życie w rodzącym się kapitalizmie. Prędko zamieniło to uczelnie w fermy do ściółkowo-klatkowego masowego chowu magistrów.

Po pewnym czasie pojawiła się wątpliwość, czy aby na pewno obietnica lepszego jutra możliwa jest do spełniania? I czy kolejny rocznik filmoznawców albo absolwentów social designu faktycznie jest tym, na co czekają kapitalistyczne rynki pracy? Za chwilę zaczął się niż demograficzny, który jeszcze bardziej uwypuklił odwieczne problemy akademii z monetyzacją naukowej misji.

Sprawę ratować miała pozorna profesjonalizacja i próba przekształcenia akademii w korporację. Skończyło się jednak uzależnieniem od grantów, utonięciem pracowników naukowych w biurokracji i próbą parametryzacji czegoś, co do sparametryzowania się nie nadaje. Ale trzeba udawać, że jest inaczej, więc wszyscy udają.

W tym samym czasie uniwersytet przeszedł też ewolucję w kierunku fajnopolactwa łapiącego w lot zagraniczne mody: na genderyzm, na klimatyzm, na antyfaszyzm albo ostatnio propalestynizm. Brak środków własnych i realne uzależnienie od ideologicznie słusznych grantów przyznawanych przez prowadzące politykę miękkiego neokolonializmu ośrodki zagraniczne (Niemcy, Unia, USA) bardzo te procesy przyspieszyły, w związku z czym o żadnym ideowym pluralizmie akademii nie ma dziś mowy.

Świat akademii oczywiście nie lubi słuchać takich wymówek. Spotkałem ostatnio na imprezie znajomą, która robi karierę na jednym z najbardziej znanych amerykańskich uniwersytetów. Zwierzyłem się jej, że coraz mniej chętnie czytam akademickie papery z interesujących mnie dziedzin. A porównanie mam, bo ich przeglądanie należy do mojego zawodowego rytuału tak mniej więcej od roku 2008. Na pytanie „dlaczego?" odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nie mam ochoty tracić czasu na pisane pod najmodniejszą ostatnio tezę (wczoraj „jak przeciwdziałać wywołanemu przez człowieka ociepleniu klimatu", dziś „jak pokonać Donalda Trumpa i przywrócić prawdziwą demokrację?") teksty podszywające się pod trzeźwą naukową analizę. Na te słowa jej twarz zastygła w grymasie odrazy. Rozmowa zaś przestała się kleić.

Na szczęście można uczestniczyć w debacie publicznej bez zdawania się na autorytet coraz bardziej upadłego uniwersytetu.

Na szczęście na odpowiednio licznej imprezie łatwo jest zgubić niechcianego rozmówcę i nie obyć się bez kontaktu do końca wieczoru. Na szczęście można też uczestniczyć w debacie publicznej bez zdawania się na autorytet coraz bardziej upadłego uniwersytetu. S

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**

eprasa.pl e6696996e7

29.09.2026
WYDANIE Nr
39

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Wrogie przejęcie uniwersytetu

12 Bolączki szkolnictwa wyższego

16 Jak być związkowcem i przetrwać na uczelni

18 Gaudeamus dla awansu

22 Przeciąganie akademii

26 Kiedy koniec wokeizmu na uczelniach w USA?

WYDARZENIE TYGODNIA:

„Kościół to wierni, Kościół to my”. 44. Ogólnopolska Pielgrzymka Ludzi Pracy 8

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Satyra uniewinniona 30

KRAJ

Suwerenność – o to naprawdę toczy się spór 34

Na prawicy ciężko 38

GOSPODARKA

Powrót normalności: machina wojenna jako motor rozwoju 42

ZAGRANICA

Rumunia. Wieczny kryzys polityczny 50

SPOŁECZEŃSTWO

Naga broń prawicy 54

KULTURA

Skupiam się na codzienności. Rozmowa z M. Szlęzak 58

„Ja donosicielstwem się brzydzę” 62

HISTORIA

Bezdany 1908. Akcja tych, którzy nie chcieli żyć w ruskim wychodku 66

ZWIĄZEK

Co w związku 70

FELIETONY:

OKRASKA 7

GAC 25

KRYSZTOPA 37

SKWIECIŃSKI 45

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 33

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 46

Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 49

CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM 64

GŁOS REGIONU 72

PRAWO 73

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Hanna Szymerska, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl e6696996e7

WŁĄCZ SIĘ W AKCJĘ REFERENDALNĄ SOLIDARNOŚCI

- ✓ POBIERZ KARTĘ, SKANUJĄC KOD QR
- ✓ PODPISZ SIĘ
- ✓ ZBIERZ PODPISY WŚRÓD BLISKICH I ZNAJOMYCH
- ✓ WYŚLIJ WYPEŁNIONĄ KARTĘ Z PODPISAMI NA ADRES:

KOMISJA KRAJOWA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ"
UL. PROSTA 30, 00-838 WARSZAWA

NSZZ Solidarność

Fundacja Promocji Solidarności

eprasa.pl e6696996e7

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu” i bieżącej polityki klimatycznej UE

zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan

za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie”

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
١	٢	٣	٤	٥

Wypełnioną kartę można wysłać na adres redakcji „Tygodnika Solidarność”: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa.

eprasa.pl e6696996e7

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Remigiusz Okraska

Płacz i płać

Po ostatnich wyborach popularne stało się powiedzonko: „Najważniejsze, że PiS już nie rządzi”. Kwitowaliśmy nim ironicznie wszelkie złe wieści dotyczące decyzji nowego rządu oraz kiepskie sygnały z gospodarki. Teraz znowu się ono nasuwa. Podczas każdego tankowania.

Benzyna po 8 złotych, diesel po 9. To koszmarne wieści dla wszystkich. Nie tylko użytkowników samochodów, choć dla nich szczególnie. To także wyższe koszty transportu towarów, czyli drożej w sklepach, co odczuje każdy.

Gdy ceny paliwa drastycznie wzrosły po napaści Rosji na Ukrainę, według liberałów winny nie był Putin. Oskarżali Jarosława Kaczyńskiego, Mateusza Morawieckiego i Daniela Obajtka. Internet zalały zdjęcia paragonów. Rozzłoszczeni kierowcy blokowali stacje Orlenu. Lamentowano o pisowskiej drożyźnie mimo że benzyna była droga w całej Europie, a polskie ceny należały do najniższych.

Dzisiaj nie ma protestów i lamentów liberałów. Ceny paliwa to według nich nie jest wina Donalda Tuska, lecz wina Donalda Trumpa. A może nawet plam na słońcu. Wszystkiego i wszystkich, byle nie rządu liberałów. Sympatycy Tuska są przecież jak sekta. Całkiem niedawno gładko przeszli od wywodów, że Obajtek drenuje ich kieszenie w 2022 roku cenami 7 złotych za litr benzyny, do opowieści, że w 2023 roku właśnie on „kupuje głosy PiS-owi” cenami 4,99 zł za litr.

Tusk przekonywał, że tylko decyzji politycznej potrzeba, aby paliwo kosztowało 5,19 zł. Zamiast tego mamy je po 8 zł. Mamy też groteskowe działania władzy. Trudno inaczej nazwać programy obniżania cen, z których ostatni trwał raptem 14 dni. Według rządu miał on zapewnić tańszy powrót z wakacji. Problemem milionów ludzi nie jest jednorazowy przejazd wakacyjny. Są nim koszty codziennych dojazdów do miejsc zarobkowania.

Gdy prezydent Karol Nawrocki przedstawił projekt ustawy pozwalającej długofalowo obniżyć ceny paliwa, to po stronie „demokratycznej” podniosły się zwyczajowy jazgot oraz wywody, że nas na to nie stać. Nigdy nas nie stać na nic korzystnego dla społeczeństwa, gdy rządzą liberałowie.

Stać było na dotowanie zamożnym zakupu aut elektrycznych. Ze środków KPO wydano ponad miliard na takie wsparcie. Można było dostać 40 000 zł dopłaty do auta kosztującego nawet 225 tysięcy. Elita finansowa ma już mnóstwo pieniędzy, ale dostała z budżetu kolejne, aby następnie uniknąć podwyżek cen ropy i benzyny. Średniacy i ubodzy nie dostaną nic, za to rosną im wydatki.

Nawiasem mówiąc: elektromobilność mogłaby faktycznie pomóc uniezależnić się od skoków cen paliw ropopochodnych ale nie taka. Nie w postaci dotacji dla bogatych. Był kiedyś pomysł o nazwie Izera. Polska marka elektrycznych samochodów wytwarzanych w kraju, z komponentów krajowych, produkowanych przez publiczną firmę, a więc bez konieczności eskalowania zysków, czyli oferowanych w niższej cenie. I co? I szyderstwom liberałów nie było końca.

Zostaliśmy więc z paliwem po 8–9 zł za litr i z wywodami, że państwa nie stać na to, aby pomagać obywatelom nawet w sytuacji kryzysowej. Płaczmy zatem i płaćmy. „Najważniejsze, że PiS już nie rządzi”.

eprasa.pl e6696996e7

Wydarzenie Tygodnia

44. OGÓLNOPOLSKA PIELGRZYMKA LUDZI PRACY

„Kościół to wierni, KOŚCIÓŁ TO MY”

Fot. autor

– Jesteśmy tutaj, aby prosić Jasnogórską Panią o to, aby **nauczyła nas kochać** Kościół. Kościół, który jest naszym domem. Tak, naszym domem, bo Kościół to nie mury, Kościół to wierni, Kościół to my, ale Kościół to też nasi księża, nasi kapelani, którzy są zawsze z nami – mówił na jasnogórskim szczycie przewodniczący Solidarności Piotr Duda.

Marcin Krzeszowiec

We wrześniu 1983 roku hutnicy, stoczniowcy i górnicy przybyli do Częstochowy, by podziękować Jasnogórskiej Pani za matczyną opiekę i modlić się w intencji osób wyrzuconych z pracy po wprowadzeniu stanu wojennego. Była to pierwsza Pielgrzymka Ludzi Pracy na Jasną Górę – pielgrzymka, którą zainicjował bł. ks. Jerzy Popiełuszko.

Dziś, po 44 latach, działacze Solidarności kontynuują tę tradycję, dlatego każdy przyjazd do Częstochowy zaczynają od modlitwy pod pomnikiem Patrona Solidarności.

– Ksiądz Jerzy Popiełuszko nas, ludzi Solidarności, nauczył, mówił do nas i mówił też do wszystkich innych ludzi w naszym kraju, żebyśmy zło dobrem zwyciężali. To Solidarność wzięła sobie do serca. W tym czasie, kiedy była noc stanu

eprasa.pl e6696996e7

Fot. M. Żegliński (3)

wojennego, mogliśmy w różny sposób reagować. Mogliśmy zbrojnie stanąć przeciwko naszym ciemiężycielom, ale my, pomni tych słów, zło dobrem żeśmy zwyciężali i dzięki temu wywalczyliśmy wolną ojczyznę – mówił w tym roku przewodniczący dolnośląskiej Solidarności Kazimierz Kimso przed złożeniem kwiatów przy monumencie bł. ks. Popiełuszki.

To właśnie Region Dolny Śląsk był w tym roku współorganizatorem 44. Ogólnopolskiej Pielgrzymki Ludzi Pracy na Jasną Górę, która odbywała się pod hasłem: „Jasnogórska Matko, naucz nas kochać Kościół, który jest naszym domem”.

PRZYSZŁOROCZNĄ, 45. PIELGRZYMKĘ LUDZI PRACY WSPÓŁORGANIZOWAĆ BĘDZIE ŁÓDZKA SOLIDARNOŚĆ.

„Kościół to wierni, Kościół to my”

– Stwierdzenie, że Kościół jest naszym domem, ma znacznie głębszy sens niż tylko określenie budynku, do którego przychodzimy na Mszę Świętą. Bo dom oznacza przede wszystkim miejsce przynależności, obecności, relacji między członkami rodziny i bezpieczeństwa. Wiemy, że w domu nikt z domowników nie musi ciągle udowadniać swojej wartości – po prostu jest sobą, jest u siebie. Podobnie we wspólnocie Kościoła – każdy powinien móc powiedzieć: tutaj jestem u siebie,

eprasa.pl e6696996e7

to jest moja rodzina, tutaj jest moje miejsce – mówił w homilii wygłoszonej na jasnogórskim szczycie arcybiskup Józef Kupny.

– Niektórzy nie czują się w Kościele dobrze i odchodzą. Ale przecież zawsze mogą do niego wracać, bo Chrystus nie odrzuca nikogo, ale wszystkim przebacza, wszystkich gromadzi i prowadzi – podkreślał metropolita wrocławski.

O tym, że Kościół jest naszym domem, mówił też w swoim przemówieniu Piotr Duda.

– Jesteśmy tutaj, aby prosić Jasnogórską Panią o to, aby nauczyła nas kochać Kościół. Kościół, który jest naszym domem. Tak, naszym domem, bo Kościół to nie mury, Kościół to wierni, Kościół to my, ale Kościół to też nasi księża, nasi kapelani, którzy są zawsze z nami – podkreślał szef Solidarności, po czym przypomniał o pomocy, jaką w latach 80. duchowni nieśli opozycji. Niektórzy z nich ponieśli za tę pomoc najwyższą ofiarę, jak ksiądz Jerzy, ale byli także i inni. Piotr Duda wymienił tutaj ks. Romana Kotlarza, ks. Stanisława Suchowolca, ks. Stefana Niedzielaka i ks. Sylwestera Zycha.

W dalszej częściej wystąpienia szef Komisji Krajowej chciał powiedzieć zgromadzonym, co dobrego Solidarność zrealizowała w tym roku dla pracowników i członków Związku.

– Powiem wam szczerze, że po raz pierwszy muszę powiedzieć: nic nam się nie udało. Nie z tego powodu, że nam się nie chce, tylko dlatego, że odebrano nam najważniejsze narzędzie, jakim jest dialog społeczny – oświadczył Piotr Duda.

> ***Niektórzy nie czują się w Kościele dobrze i odchodzą. Ale przecież zawsze mogą do niego wracać, bo Chrystus nie odrzuca nikogo, ale wszystkim przebacza.***
>
> **ABP JÓZEF KUPNY**

Przewodniczący stwierdził, że dziś „strona rządowa zamknięta jest na jakiekolwiek rozmowy z drugą stroną, ze stroną społeczną" i nie słucha związkowców z Solidarności – ani w kwestii podwyżek dla budżetówki, ani w kwestii stawki minimalnego wynagrodzenia na przyszły rok.

– Ale my tego dialogu będziemy się domagać – podkreślił Piotr Duda i podziękował osobom, które przybyły w maju do Warszawy na manifestację w sprawie rozpisania referendum klimatycznego i odrzucenia Zielonego Ładu. Zachęcił też wszystkich do złożenia podpisu pod obywatelskim wnioskiem o referendum w tej sprawie.

Protest głodowy

Przemówieniu szefa Solidarności przysłuchiwali się Jan Karandziej i Stanisław Oroń, którzy od 8 września prowadzą protest głodowy w siedzibie częstochowskiej Solidarności. Piotr Duda wraz ze swoimi zastępcami odwiedził dawnych opozycjonistów tuż przed rozpoczęciem pielgrzymki.

– Janie, Stanisławie – jesteście cudowni, jesteście bohaterami nie tylko naszych czasów, dziękujemy za to, co robicie. Wczoraj mi powiedzieli, że zdają sobie sprawę, że nikt z rządu do nich nie przyjedzie, że może ta ich walka jest przegrana, ale chcemy, aby Polacy otworzyli oczy i zobaczyli, co się dzieje w polskiej edukacji, jakie są złe przyjmowane ustawy, jak ministerstwo walczy z lekcją religii w szkołach. Bo przecież o to też walczyli robotnicy Poznańskiego Czerwca w 1956 roku, wychodząc na ulice z transparentami: „My chcemy chleba, Boga i lekcji religii w szkołach" – zwracał uwagę Piotr Duda.

Słowo od prezydenta

Kilka słów do uczestników pielgrzymki skierował też prezydent

eprasa.pl e6696996e7

Karol Nawrocki. List od głowy państwa odczytał szef jego kancelarii Zbigniew Bogucki.

„Pielgrzymowanie to jedno z odwiecznych doświadczeń człowieka i chrześcijanina. W Polsce praktykujemy ten zwyczaj, zmierzając już od XIV wieku właśnie na Jasną Górę. Rodacy różnych stanów i z różnych stron kraju wędrowali do tego świętego miejsca pomimo przeszkód stawianych przez zaborców, wojen, głodu i zarazy – aby modlić się o uwolnienie od tych plag" – zwracał uwagę prezydent.

„Zmieniają się czasy: nikt nie musi dziś pielgrzymować na Jasną Górę z hasłem « Wolność dla Litwy » czy z transparentem « Żądamy pluralizmu związkowego! », jak to było w latach 80. Zmieniają się branże, pojawiają się nowe profesje i specjalizacje. Odchodzą w przeszłość niektóre zawody. Ale niezmienne pozostają waga i znaczenie samej pracy ludzkiej. Pracy, dzięki której utrzymują Państwo swoje rodziny, budują pomyślność swoich społeczności, regionów i całego naszego kraju. Pracy, która naprawia i ulepsza świat wokół nas" – napisał Karol Nawrocki i podziękował za wierność wartościom przyświecającym tej Pielgrzymce: prawdzie, wierze, solidarności i sprawiedliwości.

> ***Sztandar będzie towarzyszył nam w najważniejszych uroczystościach, przypominając o wartościach, które nas łączą: godności człowieka, odpowiedzialności, uczciwości, wzajemnym szacunku i solidarności.***
>
> **ANDRZEJ KOŁODZIEJSKI, szef „S" Służby Więziennej**

Droga Krzyżowa i nadanie sztandaru

Nieodłącznym elementem Pielgrzymki Ludzi Pracy jest nabożeństwo Drogi Krzyżowej, które odbywa się późnym wieczorem po odczytaniu Apelu Jasnogórskiego. W tym roku drewniany krzyż ponieśli po jasnogórskich wałach m.in. przewodniczący Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność" Ireneusz Pszczoła i szef dolnośląskiej Solidarności Kazimierz Kimso.

Tegoroczny wyjazd do Częstochowy zapamiętają z pewnością funkcjonariusze Służby Więziennej, którzy na Jasnej Górze poświęcili swoją oficjalną chorągiew z logo Solidarności, wizerunkiem bł. ks. Popiełuszki i słowami św. Jana Pawła II: „Nie ma wolności bez solidarności". Uroczystość nadania sztandaru Krajowej Sekcji Służby Więziennej NSZZ „Solidarność" odbyła się w Bastionie św. Barbary.

– Sztandar będzie odtąd towarzyszył nam w najważniejszych uroczystościach, przypominając o wartościach, które nas łączą: godności człowieka, odpowiedzialności, uczciwości, wzajemnym szacunku i solidarności. Solidarność nie jest dla nas jedynie nazwą związku zawodowego. Jest zobowiązaniem – podkreślał przewodniczący „S" w Służbie Więziennej Andrzej Kołodziejski.

O pielgrzymce częściej myśleć będą również członkowie łódzkiej Solidarności, bo to oni pomogą w organizacji przyszłorocznego spotkania na Jasnej Górze. Nim do tego dojdzie, w tamtejszych parafiach zagości obraz Matki Bożej Robotników Solidarności z wraz z relikwiami bł. ks. Popiełuszki i repliką Krzyża z Nowej Huty.

eprasa.pl e6696996e7

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

BOLĄCZKI szkolnictwa wyższego

Uniwersytet w Polsce ma **dobrze zdiagnozowane** wąskie gardła i kryzysy.

Jakub Pacan

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl e6696996e7

Jednocześnie świat akademicki w Polsce, przy całej krytycznej wiedzy na temat funkcjonowania nauki, jest światem feudalnym, z precyzyjnie określonym systemem zależności, w którym zarządzanie opiera się na strachu, lojalności i mnogich układach, układzikach oraz świadczeniu sobie wzajemnych życzliwości bądź pomijaniu.

Stajnia Augiasza

Kolejni ministrowie nauki obiecują głębokie zmiany i uzdrowienie polskiej nauki, po czym zderzają się z zastanym status quo i dochodzą do wniosku, że naruszenie tej feudalnej struktury może pociągnąć za sobą niedające się przewidzieć skutki lub zostaną zapamiętani jak Jarosław Gowin. Jego tzw. Konstytucja dla Nauki lub ustawa 2.0 z 2018 roku powszechnie uważana jest za porażkę, a w środowisku powstają wciąż nowe projekty, jak wyjść z reform Gowina, ponosząc jak najmniejsze straty.

Tymczasem pauperyzacja polskiej nauki z roku na rok jest coraz bardziej widoczna, a opinia publiczna buduje jej obraz na podstawie memów np. ze znaną ostatnio dr hab. Barbarą Mróz-Gorgoń.

Złe traktowanie nauki przez klasę polityczną jest tym bardziej niezrozumiałe, że o sukcesie kraju nie decyduje już gospodarka tradycyjna oparta na surowcach naturalnych, przemyśle ciężkim, wydobywczym, rolnictwie i tradycyjnej produkcji, lecz gospodarka oparta na wiedzy (GOW). Głównym zasobem takiej gospodarki są wiedza, informacje i technologie, a wiodące sektory to badania i rozwój oraz nowoczesne technologie. Ludzie poważnie zajmujący się nauką dopuszczają już nawet do siebie myśli, że to chroniczne niedofinansowanie to działanie wrażych sił, które chcą, by Polska pozostała w pułapce średniego dochodu.

Fundamentem złej sytuacji jest finansowanie. Udział wydatków z budżetu na naukę i szkolnictwo wyższe oscyluje wokół 1,0–1,05 proc. PKB i nie zmienia się od lat. W 2027 r. nakłady na naukę i szkolnictwo wyższe wzrosną nominalnie o 2,6 mld zł, do 46,2 mld zł, ale ich udział w PKB spadnie z 1,4 proc. do 1,05 proc.

Ten 1 proc. kładzie się cieniem nawet na myśleniu naukowców. Z jednej strony ma wpływ na pensje, ludzie pracujący często nad przełomowymi projektami, kluczowymi dla danego sektora, muszą walczyć o minimalne podwyżki lub cieszą się, kiedy dostaną trzynastkę, ponieważ to w poważny sposób ratuje ich domowe finanse. Ci niemający drugiego zajęcia w sektorze przedsiębiorstw skazani są na bardzo skromne życie i często się do niego przyzwyczajają. Zestawienie naukowców żyjących tylko z uczelnianych pieniędzy z wykładowcami, którzy są np. wybitnymi lekarzami, prawnikami czy architektami, pokazuje rażące różnice.

Z drugiej strony są środki przeznaczone na uprawianie nauki. System stypendiów, grantów i konkursów, trudny i skomplikowany, także kręci się wokół minimalnych – jak na naukę – kwot. Byłem zszokowany, gdy dowiedziałem się o prawdziwej radości pewnego zespołu naukowego składającego się z czterech osób, który uzyskał grant 200 tys. zł na dwa lata. Kawalerka w Warszawie kosztuje w okolicach 400 tys. zł. Zdziwiła mnie równie wielka radość kolegi, któremu gratulował sam dziekan, bo przez rok starał się o grant w wysokości 60 tys. zł i go uzyskał. Fakt, była to humanistyka, w której koszty są niższe niż w naukach eksperymentalnych czy badaniach terenowych. Ale to pieniądze, które wielu specjalistów jest w stanie zarobić w dwa, trzy miesiące. Przeciętny program rozrywkowy realizowany przez telewizję publiczną może wygenerować koszty idące w miliony złotych w skali roku. Warto robić takie zestawienia, bo przez lata głodzenia nauki ludzie o wybitnych umysłach zostali zmuszeni do cieszenia się z byle czego, bo tak trzeba to nazwać.

SĄ UCZELNIE, NA KTÓRYCH 50 PROC. UKOŃCZONYCH DOKTORATÓW UWAŻA SIĘ ZA SUKCES. NIE SĄ RZADKIE PRZYPADKI, GDY POZIOM UKOŃCZONYCH DOKTORATÓW OSCYLUJE WOKÓŁ 8–10 PROC.

– Największą bolączką szkolnictwa wyższego jest jego chroniczne niedofinansowanie. Z roku na rok maleje udział tego sektora w PKB, co ogranicza możliwości rozwoju uczelni, prowadzenia badań naukowych oraz poprawy warunków pracy i kształcenia. Taka sytuacja może mieć negatywne konsekwencje dla przyszłości

eprasa.pl e6696996e7

kraju, zwłaszcza w obszarze innowacyjności i tworzenia ochrony własności intelektualnej. Poważnym problemem jest brak przejrzystości w finansowaniu uczelni wynikający między innymi z „zamrożonego algorytmu" podziału środków. Znaczna część subwencji zależy od poziomu finansowania z poprzedniego roku, a nie od aktualnych osiągnięć, zmian i rzeczywistych potrzeb poszczególnych uczelni – mówi Krzysztof Pszczółka, wiceprzewodniczący Krajowej Sekcji Nauki NSZZ „Solidarność".

W ŚWIECIE AKADEMICKIM JEST GONITWA ZA PUBLIKACJAMI W CZASOPISMACH Z MINISTERIALNEJ LISTY, KTÓRA PRZEDKŁADA ILOŚĆ I „WARTOŚĆ PUNKTOWĄ" NAD REALNE ZNACZENIE NAUKOWE TEKSTU.

„3 proc. dla nauki, 100 proc. dla Polski"

Z finansowaniem nauki jest tak źle, że naukowcy wyszli na ulice 27 maja 2026 roku. Przed Sejmem odbył się protest pod hasłem: „3 proc. dla nauki, 100 proc. dla Polski". Naukowcy domagali się m.in. zwiększenia finansowania nauki do 3 proc. PKB w ciągu czterech lat. Znamienne, że ludzie nauki domagali się też powiązania wynagrodzeń w nauce ze średnią pensją w sektorze przedsiębiorstw.

Szef Solidarności w Polskiej Akademii Nauk Piotr Lampart w czasie Kongresu Nauki i Oświaty NSZZ „Solidarność", który odbył się w ubiegłym tygodniu, mówił, że w PAN jest obecnie bardzo gorący czas wynikający z problemów finansowych. – Poziom finansowania jest proporcjonalnie najniższy od roku 1990, dlatego są problemy kadrowe w instytutach. Nie ma młodych ludzi, jest przerwa pokoleniowa. Praktycznie nie ma osób w wieku 25–40 lat – mówił Piotr Lampart.

Przerwa pokoleniowa to kolejna pięta achillesowa polskiej nauki będąca konsekwencją w dużej mierze słabego finansowania. Uczelnie zabiegają, by emerytowani profesorowie jak najdłużej zostawali czynni. Brak finansów nie tylko wypłukuje kadrę akademicką. Szkoły doktorskie mierzą się z problemem odchodzenia doktorantów. Są uczelnie, na których 50 proc. ukończonych doktoratów uważa się za sukces. Nie są rzadkie przypadki, gdy poziom ukończonych doktoratów oscyluje wokół 8–10 proc. Młodych przyciąga rynek, a przez pierwsze dwa lata studiów doktoranckich stypendium wynosi od 2 do 4 tys. zł miesięcznie.

Tymczasem świat znalazł rozwiązania dla finansowania nauki. W wielu krajach to m.in. sektor prywatny i biznes zobowiązane są do łożenia niedużych kwot na naukę, ponieważ korzystają z jej dorobku. Dla przedsiębiorstw nie stanowi to obciążenia, lecz dla nauki jest bardzo poważnym wsparciem, nawet niewielkie fundusze płacone powszechnie przez sektor prywatny dają duże pieniądze.

ŚWIAT ZNALAZŁ ROZWIĄZANIA DLA FINANSOWANIA NAUKI. W WIELU KRAJACH TO M.IN. SEKTOR PRYWATNY I BIZNES ZOBOWIĄZANE SĄ DO ŁOŻENIA NIEDUŻYCH KWOT NA NAUKĘ, PONIEWAŻ KORZYSTAJĄ Z JEJ DOROBKU. DLA PRZEDSIĘBIORSTW NIE STANOWI TO OBCIĄŻENIA, LECZ DLA NAUKI JEST BARDZO POWAŻNYM WSPARCIEM.

Brak przejrzystości jest równie niebezpieczny jak brak pieniędzy. W finansowaniu szkolnictwa wyższego nie chodzi wyłącznie

eprasa.pl e6696996e7

o wysokość środków. Uczelnia może przygotować wieloletni plan rozwoju, ale jeżeli w międzyczasie zmieniają się zasady ewaluacji, wykazy czasopism, parametry finansowania lub sposób interpretacji poszczególnych kryteriów plan zaczyna przypominać dokument życzeniowy, a uczelnia nie jest firmą usługową. Przygotowanie dobrego zespołu badawczego zajmuje lata. Budowa laboratorium – jeszcze więcej. Podobnie umiędzynarodowienie. Nie można oczekiwać wyników długoterminowych, stosując krótkoterminowe i zmienne reguły gry.

Ewaluacja i punktoza

Ewaluacja jakości działalności naukowej jest jednym z najtrudniejszych elementów całego systemu. Sama idea miała wskazywać, gdzie prowadzona jest wartościowa działalność naukowa. Trudność polega na tym, że jakości nauki nie da się w pełni sprowadzić do jednego zestawu wskaźników. Można policzyć publikacje i cytowania i przypisać publikacjom liczbę punktów. Ale nie zawsze można w ten sposób uchwycić do końca znaczenie odkrycia czy wieloletniego programu badawczego. W naukach humanistycznych i społecznych to prawdziwy problem. Artykuł w czasopiśmie posiadającym wysoki wskaźnik bibliometryczny może być ważny, ale nie musi być ważniejszy od książki, która po latach stanie się punktem odniesienia dla całej szkoły badawczej.

Dziś panuje pogoń za punktozą. W świecie akademickim jest gonitwa za publikacjami w czasopismach z ministerialnej listy, która przedkłada ilość i „wartość punktową" nad realne znaczenie naukowe tekstu. W perspektywie długoterminowej skutkuje to publikowaniem artykułów niskiej jakości, sztucznym dzieleniem badań na mniejsze publikacje oraz spadkiem motywacji i wypaleniem zawodowym badaczy. Ludzie pracujący w czasopismach naukowych znają przypadki błagalnych telefonów od uznanych profesorów, by znalazło się choć trochę miejsca na ich publikację, by punktozie stało się zadość.

System punktów tworzy też strategię publikacyjną. Jeżeli jakieś czasopismo otrzymuje 200 punktów, inne 140, a jeszcze inne 40, to system tworzy bardzo silną zachętę do podporządkowania strategii publikacyjnej punktacji. Na to nakłada się problem niestabilności w wykazie czasopism. Jeżeli naukowiec podejmuje decyzję o przygotowaniu artykułu kilka lat przed końcem okresu ewaluacyjnego, powinien mieć pewność, według jakich reguł jego publikacja będzie oceniana. Tymczasem zmiany wykazów, punktacji i interpretacji zasad powodują, że ocena dorobku stoi na ruchomych pisakach.

Wyobraźmy sobie naukowca, który przez kilka lat buduje dorobek zgodnie z obowiązującymi zasadami. Wybiera czasopisma, przygotowuje projekty, prowadzi badania, inwestuje własny czas i środki zespołu. Po kilku latach okazuje się, że zmieniła się punktacja lub sposób klasyfikacji określonych publikacji. Formalnie wszystko może być zgodne z prawem. Z punktu widzenia planowania kariery pojawia się problem systemowy.

Dostrzegło to samo ministerstwo, które w czerwcu 2026 r. wskazało, że zmiana harmonogramu prac nad nowym wykazem ma służyć większej przewidywalności i bezpieczeństwu prawnemu przy planowaniu działalności publikacyjnej. To pokazuje, że problem stabilności w tym obszarze został dostrzeżony także na poziomie polityki publicznej.

Do tego dochodzi ranking ewaluacji: A+ – najwyższa możliwa ocena, dla dyscyplin na światowym poziomie badań. A – bardzo wysoka jakość nauki. B+ – dobra ocena, stabilny poziom badań naukowych. B – kategoria pozytywna, ale niższa od oczekiwanej. C – najniższa kategoria, dana dyscyplina nie spełniła wymagań stawianych w ewaluacji. Naukowcy, których dyscypliny znalazły się w kat. B lub C, muszą się liczyć z konsekwencjami np. likwidacji dyscypliny i utratą pracy.

Praca na uczelni to na zewnątrz prestiż, wewnątrz zabieganie o żenująco niskie finanse i ciągły lęk o przyszłość. Młode pokolenie coraz rzadziej marzy o karierze naukowej.

Z FINANSOWANIEM NAUKI JEST TAK ŹLE, ŻE NAUKOWCY WYSZLI NA ULICE 27 MAJA 2026 ROKU. PRZED SEJMEM ODBYŁ SIĘ PROTEST POD HASŁEM: „3 PROC. DLA NAUKI, 100 PROC. DLA POLSKI".

eprasa.pl e6696996e7

Jak być związkowcem i przetrwać na uczelni

– Bycie związkowcem na uczelni wiąże się z represjami. To postępowania dyscyplinarne wszczęte przez rektora, straszenie, odbieranie zajęć lub dawanie ich w nadmiarze, układanie ich w taki sposób, by było to uciążliwe. Do tego dochodzi dyskryminacja ze względu na płace. [...] Kiedy stajesz się działaczem związkowym, to „koledzy" zaczynają cię omijać, nie zapraszają do wspólnych badań, bo boją się, że jesteś kontrowersyjny i władze uczelni będą negatywnie patrzeć na zespół – mówi dr hab. **Marek Kisilowski** w rozmowie z **Jakubem Pacanem**.

Fot. Jakub Pacan

– Praca wykładowcy na uczelni kojarzy się z prestiżem i stabilizacją. Jaką cenę płaci wykładowca, gdy zaczyna być związkowcem i walczy o prawa pracownicze? Jakie „przyjemności" czekają na pracownika naukowego, gdy zdecyduje się na działalność związkową?

– Po pierwsze uczelnie są słabo uzwiązkowione, ponieważ wielu nauczycieli akademickich nie ma silnego poczucia związku z uczelnią. Bierze się to stąd, że osoby te pracują na kliku etatach. Po drugie system wprowadzony ustawą z 2018 roku daje dość ograniczone możliwości obrony pracowników przed jedynowładztwem rektora. Rektor po tej słynnej reformie jednoosobowo zarządza uczelnią i jest całkowicie niekontrolowany, ponieważ ustawa przewiduje, że podmiotem, który miałby go kontrolować i uchylać jego rozstrzygnięcia, jest minister. Ministrowie tego nie robią, bo wolą mieć dobry kontakt z rektorami, żeby podlizywała się mu Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich, więc się nie narażają.

– Czyli nawet instytucjonalnie jest słabo.

– Problem jest taki, że nie mamy narzędzi. Na podstawie Kodeksu pracy byłoby łatwiej, ale na podstawie Kodeksu o pracy i ustawy o szkolnictwie wyższym jest dużo trudniej.

– Dlaczego?

– Dlatego że nauczyciela akademickiego można zwolnić bez uzasadnie-

eprasa.pl e6696996e7

nia po pierwszej negatywnej ocenie. Ocenienie kogoś negatywnie w dzisiejszych czasach, gdy w większości uczelni nie ma systemu transparentnej oceny, jest bardzo proste, ponieważ ocena jest subiektywna. Jeżeli przepis mówi, że po pierwszej ocenie można zwolnić, a po drugiej trzeba zwolnić pracownika, to związek nie ma narzędzi do obrony. Poza tym bycie związkowcem jest czasochłonne, a problemów na uczelniach – na co wskazują raporty dotyczące np. wypalenia zawodowego wśród kadry akademickiej lub mobbingu – jest bardzo dużo. Do związku zwracają się często ludzie spoza niego, by ich ratował.

– Bycie związkowcem na uczelni wiąże się z represjami?

– Oczywiście, ja jestem tego doskonałym przykładem. Rektor wytoczył mi postępowanie dyscyplinarne, które przegrał w komisji dyscyplinarnej na uczelni i odwołał się do komisji ministerialnej, uważając, że komisja uczelniana była stronnicza. Tam też przegrał, bo nie było innego wyjścia, nie można zabraniać działaczowi związkowemu wyrażać krytycznych opinii o przedstawicielach pracodawcy, ponieważ to prawo wynikające z ustawy o związkach zawodowych.

Później jeszcze kilka razy rektor groził mi postępowaniem dyscyplinarnym, ale kolejne nie zostały wszczęte.

– W takiej sytuacji ktoś zastanowi się dwa razy, czy warto się narażać.

– Tak, postępowania dyscyplinarne to nie wszystko. Zdarzają się inne elementy prześladowania, straszenie, odbieranie zajęć lub dawanie ich w nadmiarze, układanie ich w taki sposób, by było to uciążliwe. Do tego dochodzi dyskryminacja ze względu na płace. W szkolnictwie wyższym jest ogromna uznaniowość, jeśli chodzi o wynagrodzenia – określone jest tylko wynagrodzenie minimalne nauczyciela akademickiego, a pracownicy wsparcia (pracownicy niebędący nauczycielami) wraz z wprowadzaniem ustawy stracili jakąkolwiek ochronę. Ja, jako działacz związkowy mam najniższe wynagrodzenie, a są tacy, którzy na tym samym stanowisku zarabiają prawie dwa razy tyle co ja. Nie da się tego w żaden sposób podważyć, ponieważ nie istnieją transparentne kryteria.

SYSTEM WPROWADZONY USTAWĄ Z 2018 ROKU DAJE DOŚĆ OGRANICZONE MOŻLIWOŚCI OBRONY PRACOWNIKÓW PRZED JEDYNOWŁADZTWEM REKTORA. REKTOR JEDNOOSOBOWO ZARZĄDZA UCZELNIĄ I JEST CAŁKOWICIE NIEKONTROLOWANY.

– Wyłania się obraz samotnej walki z sułtanem-rektorem i jego dworem.

– W pewnym sensie tak. Kiedy stajesz się działaczem związkowym i zaczynasz walczyć o ludzi, to „koledzy” zaczynają cię omijać, nie zapraszają do wspólnych badań, bo boją się, że jesteś kontrowersyjny i władze uczelni będą patrzeć na zespół negatywnie. Większość rektorów boi się kogoś, kto ma ponadprzeciętną wiedzę o prawach pracowniczych. A my w Krajowej Sekcji Nauki NSZZ „Solidarność” dbamy o to, by nasze koleżanki i nasi koledzy mieli tę ponadprzeciętną wiedzę. Tutaj żartobliwie powiem, że sprawdza się powiedzenie, że wiedza jest szkodliwa.

– Słyszałem, że związkowcy mają nawet problem z promowaniem swoich doktorantów.

– Sam tego doświadczam. Moi kandydaci na doktorantów mogą pisać doktorat tylko w trybie eksternistycznym i za niego zapłacić. Komisja rekrutacyjna po prostu nie przyjmie kogoś, kto chce być moim doktorantem. To jest związane z tym, by nie pozwolić komuś stworzyć własnego zespołu naukowego. Oczywiście to wszystko robione jest w takiej formule, by nie można było udowodnić, że taki związkowiec został źle potraktowany, ale otacza się go „kordonem sanitarnym”.

– Żeby za bardzo nie urosnąć.

– Tak, żeby nie mieć się do kogo zwrócić, żeby nie było kogoś, kto może taką osobę wesprzeć, żeby nie zbudować zespołu i nie wprowadzić na uczelnię ludzi myślących podobnie. A tworzenie nauki w pojedynkę jest trudne.

Marek Kisilowski – dr hab. nauk o zarządzaniu, specjalność zarządzanie publiczne, docent na Wydziale Zarządzania Politechniki Warszawskiej. Członek Rady Służby Publicznej przy prezesie Rady Ministrów, członek Narodowej Rady Rozwoju przy prezydencie Andrzeju Dudzie, zastępca przewodniczącego Krajowej Sekcji Nauki NSZZ „Solidarność”.

eprasa.pl e6696996e7

Gaudeamus dla awansu

„Chcesz być kimś w życiu, to się ucz/ abyś nie zginął w tłumie;/ Nauka – to potęgi klucz,/ w tym moc, co więcej umie”. Takich wierszowanych rad udzielał pisarz i działacz społeczny Ignacy Baliński swym synom w 1907 roku. W skróconej, rymowanej wersji – jako anonimowe przysłowie – **powtarzano tę mądrość przez pokolenia**.

Monika Małkowska

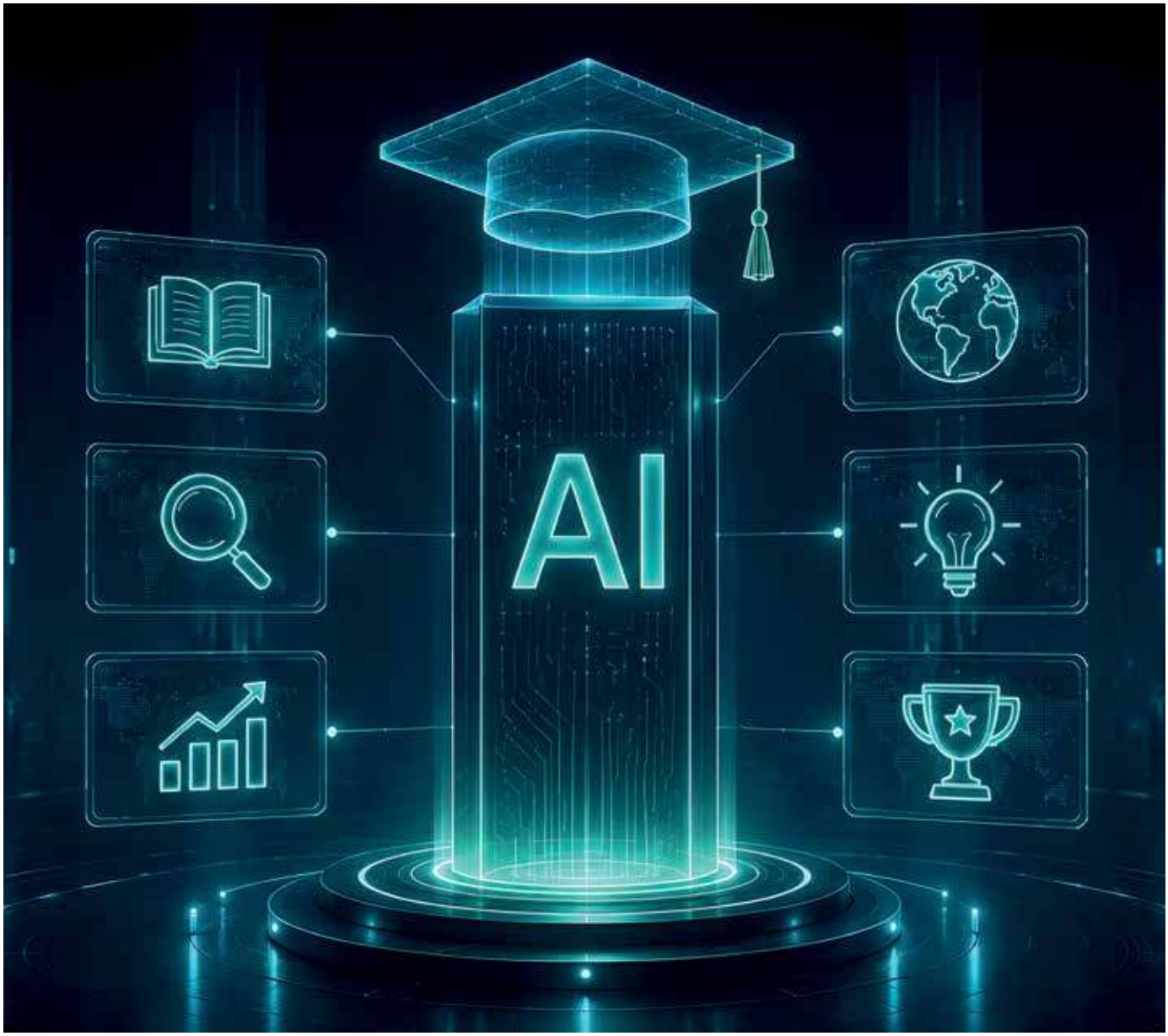

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl e6696996e7

Czy dziś, w kontekście skandalu wokół Barbary Mróz-Gorgoń i jej „elaboratów" wysmażonych przez sztuczną inteligencję, zdobywanie wyższego wykształcenia ma wciąż sens? Podobno po ujawnieniu nierzetelności jej opracowania przeżyła załamkę, na wyjście z której dostała rok pobierania „chorobowego". Znam kilka podobnych postaci biorących honorarium „pod depresję", którą to diagnozę wystawiano im „na gębę". Ale co do spraw zasadniczych: „pani Gorgoniowa" to tylko sztandarowy przykład bezsensu studiowania, zwłaszcza na wydziałach humanistycznych. Wiecie, że to po nic? Zwłaszcza gdy ChatGPT jest nieporównywalnie szybszy i – co tu gadać – lepiej zorientowany. Mimo to kandydatów na studia o profilach mniej lub bardziej ogarnialnych rozsądkiem lub takich, które z założenia są ściemą, nie brakuje. Jaka jest tego przyczyna? Skoro to AI robi całą robotę… Bo studencki szpan musi być! To prestiż w rodzinie, w rodzinnym środowisku, a także przepustka do zawodów, których przydatności nikt nie weryfikuje. Teoretycznie jest zapotrzebowanie na rozmaite „specjalności" dostosowane do obecnej libero-lew-ideologii. Można załapać się w rozmaitych instytucjach budżetowych i pozarządowych. I zgarniać sporą kasę za coś, co najkrócej można nazwać „nie wiem, po co to robię". Czy owi „uczeni" potrafią sformułować jakiekolwiek przekonujące argumenty – jako że rzeczowa dyskusja to nie ich specjalność?

Hymn birbantów

Już wkrótce jak Polska długa i szeroka na ponad czterystu naszych wyższych uczelniach zabrzmi „Gaudeamus…", pieśń braci studenckiej śpiewana podczas podniosłych uroczystości akademickich, w tym – podczas ceremonii inauguracji roku akademickiego. Większość z nas sądzi, że „Gaudeamus igitur" to hymn podniosły i chwalący wiedzę. Nic bardziej błędnego. Utwór swą treścią i melodią wyraża radość, lecz bynajmniej nie z powodu ewentualnego dołączenia do elitarnej grupy uczonych, lecz z racji… przynależności do międzynarodowego gremium żaków. Bo fajnie tam było należeć. To towarzycho młodych luzaków, włóczących się od jednego miasta do następnego w nadziei znalezienia łatwego zarobku, a nade wszystko szynków, gdzie można było popić i się zabawić. Wraz ze studentami peregrynowali młodzi klerycy, przygodnie pełniący funkcje kapłańskie. Całą tę zgraję zwano wagantami, czyli włóczykijami. Już we wczesnych wiekach średnich i później wędrowni żacy – na przekór ich stanowi majątkowemu i pochodzeniu – uważali się za elitarny gatunek. Asumpt po temu dawała im znajomość łaciny (i innych nauk), którym to językiem posługiwali się między sobą. Z dwóch powodów. Taki był akademicki wymóg, a odstępstwo od lingua latina surowo karano. Poza tym dla studenckiej braci, która zjeżdżała po naukę z różnych stron Europy, łacina stanowiła jedyny komunikacyjny pomost. Po łacinie też żacy tworzyli swoje poematy – w tym „Gaudeamus…". Oj, daleko było tym utworom do wzniosłości. To były frazy wesołe, hulaszcze, nie stroniące od mocnej erotyki. Najsłynniejszy zbiór tekstów, powstałych ok. 1230 r., a przetrwałych do obecnych czasów, to słynna antologia „Carmina Burana", odnaleziona na początku XIX stulecia w bawarskim opactwie Benediktbeuern (w klasztorze benedyktynów). Manuskrypt zawierał 250 pieśni łacińskich, 55 niemieckich i kilka francuskich, wśród których to poematów moralitety mieszały się z utworami rubasznymi do biesiad i tańcowania. Pieśni owe spopularyzował Carl Orff, niemiecki kompozytor i pedagog, który w 1937 r. skomponował porywającą kantatę sceniczną „Carmina Burana". W Polsce ten utwór stał się teatralnym fenomenem za sprawą spektaklu wystawionego w 1990 r. (i granego do 1998 r.) w Ośrodku Praktyk Teatralnych Gardzienice.

Krakowska Alma Mater

Jak wspomniałam, większości scholarów daleko było do arystokratycznych manier oraz elitarnego wychowania. Jednak dzięki wiedzy synowie niezamożnej szlachty lub mieszczaństwa mieli możliwość wspięcia się na wyżyny społecznej drabiny. Poza wspomnianą łaciną należało przyswoić sobie siedem sztuk wyzwolonych, w dwustopniowym systemie: poziom niższy – gramatyka, retoryka, dialektyka; poziom wyższy – arytmetyka, geometria, astronomia i muzyka. Jak wiadomo, na ziemiach polskich najstarszym akademickim ośrodkiem był Kraków. Uczelnia założona z woli Kazimierza Wielkiego w 1364 r., początkowo pod nazwą Studium Generale, została potem przemianowana na Akademię Krakowską. Na początku studia składały się z trzech wydziałów: sztuk wyzwolonych, medycyny i prawa. Za życia fundatora funkcjonowały dwa

WIĘKSZOŚĆ Z NAS SĄDZI, ŻE „GAUDEAMUS IGITUR" TO HYMN PODNIOSŁY I CHWALĄCY WIEDZĘ. NIC BARDZIEJ BŁĘDNEGO.

eprasa.pl e6696996e7

pierwsze wydziały. Program pierwszego z wymienionych kursów, podobnie jak w innych zachodnich szkołach wyższych, obejmował gramatykę, retorykę oraz logikę i dopiero pozytywne ukończenie tegoż pozwalało podjąć naukę na wydziałach teologii, prawa lub medycyny. Co ciekawe – po śmierci króla-założyciela uczelnia na kilkadziesiąt lat przestała funkcjonować. Reanimował ją dopiero Władysław Jagiełło w 1400 roku, dopełniając wcześniejszą uniwersytecką strukturę o wydział teologiczny. Z biegiem stuleci z wydziału artes liberales (czyli sztuk wyzwolonych) wyewoluowały wydziały: filozoficzny, nauk ścisłych i nauk humanistycznych. Jak do tej pory podwawelski uniwersytet nie stracił renomy, wciąż zajmując czołową pozycję w rankingu najlepszych polskich uczelni. Długa jest lista wybitnych postaci, które ukończyły tę Alma Mater. Na ogół wymienia się jednym tchem Mikołaja Kopernika, Jana Kochanowskiego, Jana Długosza, Pawła Włodkowica, Wisławę Szymborską, Stanisława Lema, a także świętych Jana Kantego i Karola Wojtyłę.

Scholastyczny snobizm

Od początku istnienia krakowskiej uczelni, podobnie jak na innych europejskich uniwersytetach, styl życia braci żakowskiej daleki był od rygorów. Ci z dalekich stron i ubożsi mieszkali w bursach, pod okiem przełożonych; na stancje mogli sobie pozwolić tylko zamożniejsi. Ale młodym ludziom nigdy nie da się narzucić zbyt surowych zasad. Niejeden żak przeginał w karczmie z alkoholem, pozwalał sobie na rozmaite frywolne zabawy z kobietami i parał się hazardem. Studenckie stroje również podkreślały obyczajową swobodę. Powiedzmy sobie, odzienie żaków było całkiem sexy. Obcisłe wielobarwne spodnie (jak dzisiejsze legginsy), ukazujące kończyny dolne w całokształcie, do tego koszula i zgrabny kaftan z rękawami barwy czarnej lub czerwonej, plus ekstrawaganckie jaskrawe buciki z długimi noskami. Oficjalnie na to wszystko należało wdziewać długą tunikę wiązaną w pasie. Tu też panowała kolorystyczna rozpiętość, choć tylko czarne były „przepisowe". I najtańsze. Jak w każdej epoce, młodzi są nieskorzy zakładać ujednolicone odzienie, nawet gdy za niesubordynację grożą kary finansowe. Nie inaczej było w minionych stuleciach. Wyjątkiem były egzaminy i uroczystości uniwersyteckie, kiedy bezwzględnie wymagano założenia długiej po kostki, pięknie drapowanej togi oraz biretu. Jednak na co dzień nie było takiej siły, żeby powstrzymać młokosów przed strojeniem się i tym samym podkreślaniem swej przynależności do „elity" studenckiej. Niejeden żak, co bardziej przy kasie, trzymał w bursie własnego krawca. I jeszcze coś zdumiewającego: teoretycznie studenci mieli zakaz noszenia przy sobie broni. Ale co tam restrykcje! Wzorem dobrze urodzonych panów eleganciki z uczelni przypasywali sobie sztylety lub niewielkie miecze. Taki arystokratyczny szpan. Władze uczelniane patrzyły na to przez palce, pilnując jedynie, by scholarzy nie wdawali się w burdy w mieście. Co zdumiewające – etos żaków jako obywateli „lepszej" kategorii przetrwał stulecia. Jeszcze za PRL-u Andrzej Rosiewicz śpiewał, że „student żebrak, ale pan, często żyje ponad stan!". I doradzał (w piosence), gdzie dorwać trochę grosza, trochę na krzywy ryj, trochę wykorzystując studencką pozycję – albo legitymację.

Wykształceni powyżej...

„Nie ma nic gorszego niż człowiek wykształcony ponad własną inteligencję" – tak Jerzy Dobrowolski, satyryk, reżyser i aktor, ocenił w 1974 r. intelektualną sprawność rodaków. Ta zgrabna sentencja ukazała się na łamach „Szpilek" (tygodnika satyrycznego) w materiale poświęconym człowiekowi wykształconemu. Powód do dyskusji był: młodzi ludzie masowo „robili" studia wyższe, a potem kariery – zawodowe i w strukturach partyjnych. Dodajmy, że dla chłopaków legitymacja studencka równała się przyznaniu kategorii „D" – czyli zwolnienia z obowiązkowej dwuletniej służby wojskowej. Na pozór system komunistyczny sprzyjał wykształceniu. Studia, tak jak szkoły niższego rzędu, były bezpłatne. Toteż za PRL-u gwałtownie przyrosło w Polsce studenckie pogłowie. Za wczesnego socu wielu robotników oraz ludzi pochodzących z inteligencji, których młodość przypadła na wojnę bądź ciężkie (materialnie i bytowo) lata powojenne, nie mogło sobie pozwolić na studia dzienne. Od studentów uczących się na kursach wieczorowych, za dnia pracujących, ten sposób dokształtu wymagał ogromnych wyrzeczeń. A jeśli do tego owym kursantem była

„NIE MA NIC GORSZEGO NIŻ CZŁOWIEK WYKSZTAŁCONY PONAD WŁASNĄ INTELIGENCJĘ" – TAK JERZY DOBROWOLSKI, SATYRYK, REŻYSER I AKTOR, OCENIŁ W 1974 R. INTELEKTUALNĄ SPRAWNOŚĆ RODAKÓW.

eprasa.pl e6696996e7

kobieta prowadząca dom i wychowująca potomstwo, było to naprawdę karkołomne zadanie. Studia wieczorowe robiły furorę jako darmowe i czasowo dostępne dla większości. Nie zawsze zdobyte na nich wykształcenie było miernej próby, ale szczyty uniwersyteckie to nie były. Sytuacja zmieniła się już w następnym pokoleniu. Urodzony po wojnie wyż miał wiele ułatwień w zdobywaniu wyższego wykształcenia. Jednak… w oczach „prawdziwej inteligencji", tej z pokolenia na pokolenie, tytuły naukowe uzyskane przez przybyszy ze wsi albo środowisk robotniczych nie znaczyły wiele. W dodatku często legitymacja studencka oznaczała przynależność do ZSP (Zrzeszenia Studentów Polskich, organizacji protopartyjnej, powstałej w 1950 r.). Złą renomę PRL-owskich „tytularzy" doskonale określało pewne miano stworzone przez rosyjskiego pisarza i noblistę Aleksandra Sołżenicyna.

Wykształciuchy

Są tacy, którzy posiadają formalne wyższe wykształcenie, lecz brak im głębszej kultury. Charakteryzuje ich konformizm wobec autorytarnej władzy – co w realiach ZSSR doskonale określało ludzi wykształconych przez sowietsystem. Wykształciuchy stanowili negatyw tradycyjnej, przedrewolucyjnej inteligencji, której priorytetem moralnym było poszukiwanie prawdy i uczciwość w społecznym funkcjonowaniu. Termin „wykształciuch" powrócił w III RP, a jego znaczenie wyjaśnił Ludwik Dorn w wywiadzie udzielonym gazecie „Dziennik" w 2006 r.: „To mocno ignorancka, egoistyczna, narcystyczna warstwa wykształconych, która nie ma nic wspólnego z polską inteligencją". I dodawał: „Wykształciuch to dla mnie ktoś, kto uzyskał wyższe wykształcenie, ale jest niepewny własnej pozycji i buduje swoją tożsamość na okazywaniu niechęci, pogardy także wobec środowisk, z których wyrósł, i to niezależnie, czy kończył szkołę na prowincji, czy na UW lub UJ" (osobistej? wrodzonej?). Co zdumiewające – nawet współcześnie, kiedy tradycyjne zdobywanie wiedzy wyparły inne formy kumulowania i operowania wiadomościami zdobytymi za pomocą internetu, „nominalne" wykształcenie wyższe wciąż uważa się za prestiżowe. Dlaczego? Przede wszystkim gwarantuje lepiej płatną pracę. Popatrzmy na statystyki: w Polsce mamy około 10 tys. osób z tytułami naukowymi profesora; ponad 75 tys. doktorów lub doktorów habilitowanych oraz 7,6 mln ludzi z wyższym wykształceniem, w tym 5,5 mln z tytułami magistra (16,7 całej populacji).

Cudowne rozmnożenie uczonych

Ale czy dziś studia humanistyczne są potrzebne? Pisaliśmy kilka miesięcy temu o karierze wysoko wykwalifikowanych fachowców, których zarobki biją na łeb pensyjki urzędnicze. Jednak obserwując parcie na wyższe uczelnie, można mieć wrażenie, że wciąż „nauka to potęgi klucz". Ale tak naprawdę – jaka jest funkcja zdobywania tytułów magisterskich, a potem wyższych stopni naukowych? I tu pewnie większość zaskoczę: to wciąż sposób na społeczny awans, a także forma zdobycia przewagi nad tymi, którzy nie mogą pochwalić się naukowym tytułem. Choć z drugiej strony w ostatnich trzech dekadach owe spowszechniały, a w niektórych przypadkach kompromitują ich posiadaczy – jak lewe doktoraty czy słynne już przekręty na Collegium Humanum. Nie sięgając tak skrajnych przykładów – ponad 35-tysięczna armia ludzi z tytułem doktora, jakimi może się obecnie Polska poszczycić, odbiera ekskluzywność rzetelnym posiadaczom wiedzy. Jasne, wciąż absolwenci niektórych kierunków mają otwarte drzwi do zawodowej kariery w swej dziedzinie. Zdumiewa jednak mnogość działających w III RP szkół wyższych (oficjalne statystyki mówią o 430+, z czego 138 to uczelnie publiczne, a 302 – niepubliczne, plus ok. 16 szkół kościelnych). Te oazy wiedzy rozrzucone są po całym kraju, w tym w mało liczących się, prowincjonalnych ośrodkach. Po co tyle? Bo to może być niezły biznes dla właścicieli i ciał pedagogicznych (zasada ta sama, jak w kręgach lekarskich: ogarnąć jak najwięcej miejsc, zgarnąć jak najwięcej kasy, jako że niedawno powstałe szkoły bez tradycji ani kadry usiłują „dowartościować się" renomowanymi nazwiskami wykładowców, którym nie skąpią grosza). Toteż absolwenci rozmaitych uczelni idą na rekordy w zaliczaniu kolejnych kierunków, dodatkowych kursów, Erasmusów, pobytów stypendialnych i studiów podyplomowych. Wpisane do CV sprawiają wrażenie, że mamy do czynienia z istnym omnibusem. A jaki jest stan faktyczny?

ZDUMIEWA MNOGOŚĆ DZIAŁAJĄCYCH W III RP SZKÓŁ WYŻSZYCH – OFICJALNE STATYSTYKI MÓWIĄ O 430+, Z CZEGO 138 TO UCZELNIE PUBLICZNE, A 302 – NIEPUBLICZNE, PLUS OK. 16 SZKÓŁ KOŚCIELNYCH.

eprasa.pl e6696996e7

Przeciąganie akademii

Siedziba Akademii Wymiaru Sprawiedliwości przy ul. Wiśniowej 50 w Warszawie

Fot. Wikimedia Commons

Czasami historia w oczach niezaangażowanego obserwatora naprawdę powtarza się jako farsa, nawet jeśli w tle wciąż kryją się zasadnicze spory i konflikty. 21 września rektor Akademii Wymiaru Sprawiedliwości Michał Sopiński odebrał postanowienie o swoim odwołaniu, ale i to **nie kończy sprawy**. Sopiński zamierza odwołać się od decyzji ministra Waldemara Żurka. Popatrzmy na to, co działo się w AWS w szerszym kontekście, który kryje się za atrakcyjnym medialnie chaosem i hałasem.

Krzysztof Karnkowski

Pierwszy plan to konflikt wokół stworzonej w czasach Zbigniewa Ziobry uczelni. W 2018 roku powołał on Wyższą Szkołę Kryminologii i Penitencjarystyki w Warszawie, która od 2021 roku funkcjonowała jako Szkoła Wyższa Wymiaru Sprawiedliwości. W ewaluacji naukowej za lata 2019–2021 uczelnia uzyskała kategorię A w pedagogice oraz naukach o bezpieczeństwie. Dało jej to podstawę do prowadzenia szkoły doktorskiej i rozpoczęcia ubiegania się o status akademii. W marcu 2023 roku Senat uczelni wybrał Michała Sopińskiego na rektora-komendanta. Wkrótce minister Ziobro powołał go na pięcioletnią kadencję rozpoczynającą się 1 września 2023 roku, a w kwietniu tego samego roku ustawa nadała szkole nazwę Akademia Wymiaru Sprawiedliwości. Utrzymano przy tym jej podwójny charakter: była uczelnią akademicką, ale zarazem jednostką organizacyjną Służby Więziennej, z rektorem będącym jednocześnie komendantem i organem SW. W samej końcówce rządów PiS, w październiku 2023 roku, zainaugurowano szkołę doktorską AWS. Symbolicznie kończyło to przejście od wyspecjalizowanej szkoły więziennictwa do uczelni aspirującej do roli akademickiego zaplecza całego wymiaru sprawiedliwości.

Apetyt na autonomię

U podstaw konfliktu w Akademii Wymiaru Sprawiedliwości leży spór

eprasa.pl e6696996e7

o to, gdzie kończy się autonomia uczelni, a zaczyna nadzór ministra nad jednostką Służby Więziennej. Ministerstwo uznało, że przepisy o szkolnictwie wyższym pozwalają odwołać rektora w jego odczuciu rażąco lub uporczywie naruszającego prawo („tak jak my je rozumiemy"), po zasięgnięciu wymaganych opinii organów akademickich. Sopiński i popierający go Senat AWS przekonywali natomiast, że szczególne regulacje ustawy o Służbie Więziennej wyłączają tę kompetencję ministra i zastrzegają decyzję dla organów uczelni. Ta szczególna sytuacja wynika z pochodzenia AWS: uczelnię utworzono w 2018 roku przede wszystkim do kształcenia kadr więziennictwa. Mimo późniejszego rozszerzenia działalności i uzyskania statusu akademickiego pozostała jednostką organizacyjną Służby Więziennej, a jej rektor-komendant jest jednocześnie organem tej formacji. Nakładają się więc na siebie dwa porządki prawne: autonomia szkoły wyższej, regulowana prawem o szkolnictwie wyższym i nauce, oraz podporządkowanie służbowe wynikające z ustawy o Służbie Więziennej. Właśnie o pierwszeństwo i wzajemną relację tych przepisów toczy się spór. Senat potwierdził swoje stanowisko uchwałą, minister stwierdził jej nieważność, a następnie, po uzyskaniu pozytywnych opinii Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, odwołał rektora. Konflikt dodatkowo zaostrzyło postanowienie zabezpieczające Trybunału Konstytucyjnego: władze AWS uznały, że blokuje ono działania resortu, ministerstwo odmówiło zaś uznania jego skutków, wskazując m.in. na udział w składzie tzw. sędziego dublera. Po ponownym rozpatrzeniu sprawy Waldemar Żurek 9 września utrzymał odwołanie Sopińskiego, a resort wskazał, że obowiązki rektora przejmuje Sławomir Cudak na podstawie wcześniejszej uchwały Senatu. Ostateczność decyzji w postępowaniu administracyjnym nie oznaczała jednak sądowego zakończenia sporu: ministerstwo mówiło o powstaniu wakatu, Sopiński nadal uważał się za legalnego rektora, a prawny konflikt przekształcił się w walkę o faktyczną kontrolę nad uczelnią, która w pewnym momencie przybrała wymiar dosłowny, niemal fizyczny. Udział służb został uznany za bezprecedensowe złamanie autonomii uczelni wyższej.

Katedra „Wejście"

Próbom wejścia powołanego przez Żurka na nowego rektora Sławomira Cudaka do budynku uczelni towarzyszyły przepychanki, obecność policji, interwencje parlamentarzystów PiS i kilkudniowa okupacja gabinetu przez Marię Kurowską, która podjęła nawet głodówkę. Ministerstwo ogłaszało przywracanie praworządności, Michał Sopiński kwestionował legalność swojego odwołania, a chaos pogłębiały wzajemne próby zwolnień dyscyplinarnych. Cudak ostatecznie objął gabinet 16 września i zwolnił poprzednika oraz troje innych pracowników. Kontrowersje objęły również jego wykształcenie: absolwent mechaniki na Politechnice Częstochowskiej, następnie doktor pedagogiki, awans habilitacyjny uzyskał w 2008 roku w słowackim Rużomberku, przywoływanym w debacie o „turystyce habilitacyjnej". Co więcej, portal Zero wskazał rozbieżności w opisach tej kwalifikacji: AWS podaje pedagogikę, baza Ludzie Nauki socjologię, a sprawozdanie słowackiej uczelni pracę socjalną. Co więcej, w trakcie zamieszania Cudak został zwolniony przez Sopińskiego, a według byłego rektora podjęte przez niego decyzje są nieważne, obowiązki rektora powinien pełnić najstarszy senator uczelni dr Zbigniew Nowacki, profesor Akademii. Cała awantura przypominała mocno sceny z początku rządów Koalicji 13 grudnia, gdy siłowo przejmowano media publiczne i PAP. I przypominała coś jeszcze.

W nocy z 24 na 25 listopada 1981 roku podchorążowie Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej na warszawskim Żoliborzu rozpoczęli strajk okupacyjny. Protestowali przeciw podporządkowaniu szkoły przepisom o szkolnictwie wojskowym, obawiając się, że jako formacja MSW będą mogli zostać użyci do tłumienia protestów społecznych. Władze najpierw formalnie rozwiązały uczelnię, a 2 grudnia przeprowadziły operację „Syrena": ZOMO staranowało bramę, antyterroryści zostali zaś przetransportowani śmigłowcem na dach budynku. Strajkujących obezwładniono i wyprowadzono;

U PODSTAW KONFLIKTU W AKADEMII WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI LEŻY SPÓR O TO, GDZIE KOŃCZY SIĘ AUTONOMIA UCZELNI, A ZACZYNA NADZÓR MINISTRA.

eprasa.pl e6696996e7

35 osób zatrzymano, natomiast 229 podchorążych przedostało się na Politechnikę Warszawską, gdzie kontynuowało protest do 6 grudnia. Pacyfikację WOSP uznaje się za swoistą próbę generalną aparatu bezpieczeństwa przed wprowadzeniem stanu wojennego 13 grudnia. Operetkowe, choć angażujące bardzo liczne siły państwowego aparatu represji (na miejscu była nawet Straż Pożarna, a media podawały informacje o ściąganiu do Warszawy policyjnych posiłków z całego kraju), wejście do AWS uważane było za test sprawności służb i cierpliwości obywateli, mediów oraz sojuszników przed siłowym przejęciem TK. Do którego, do momentu, w którym piszę ten tekst, nie doszło.

CUDAK ZOSTAŁ ZWOLNIONY PRZEZ SOPIŃSKIEGO, A WEDŁUG BYŁEGO REKTORA PODJĘTE PRZEZ NIEGO DECYZJE SĄ NIEWAŻNE.

Wojna o myśl

Druga warstwa sporu rozgrywa się wokół ideowego czy też ideologicznego profilu polskiego szkolnictwa wyższego jako takiego. W PRL uczelnie często były ośrodkiem myśli wolnej lub relatywnie wolnej, w III RP przeszły całą drogę polskich elit. I tak jak środowisko sędziowskie nie oczyściło się z sędziów zaangażowanych w komunę, tak środowisko akademickie od lat próbuje różnymi metodami dojść do politycznej lewicowo-liberalnej homogeniczności: przez system dopuszczania do grantów, badań i recenzji, towarzyski ostracyzm, czasem działania bardziej administracyjne. Poza głównym obiegiem istniały jednak ośrodki, głównie związane z Kościołem, a pojedynczy profesorowie, wydziały czy katedry, stanowiąc mniejszość, potrafili trwać w tym wrogim bardzo często otoczeniu. Jego sympatie ujawniały się też w selektywnym podejściu do organizacji spotkań z gośćmi czy imprez politycznych. Po 2015 roku doszło do kilku prób zmiany tej sytuacji poprzez tworzenie nowych inicjatyw, do których zaliczyć można również AWS. Powstały związane ze środowiskiem Ordo Iuris Collegium Intermarium, Akademia Zamojska, utworzona z istniejącej uczelni państwowej, oraz Akademia Kopernikańska i Szkoła Główna Mikołaja Kopernika. Łączyła je ambicja poszerzenia przestrzeni dla środowisk konserwatywnych, choć różniły się statusem i zadaniami. Po zmianie rządu część tych instytucji znalazła się pod presją kontroli i zmian organizacyjnych. Ustawę likwidującą obie instytucje kopernikańskie zatrzymało w sierpniu 2025 roku weto Andrzeja Dudy; prezydent zablokował także przebudowę AWS. Naciski personalne dotknęły również powstałą w 2023 roku zawodową uczelnię w Grudziądzu: podczas spotkania z ministrem Dariuszem Wieczorkiem dyrektor departamentu uzależniał jej przetrwanie od rezygnacji rektora Bogusława Kopki. Kopka nie ustąpił, a minister odwołał go w marcu 2024 roku. Collegium Intermarium objęto nakazem likwidacji: resort wskazywał zaniedbania organizacyjne i sprawozdawcze, natomiast Ordo Iuris obarczało rząd odpowiedzialnością za wcześniejsze załamanie uczelni, podkreślając utratę wpływu na nią w 2024 roku. Wszystko to pokazuje, że próby z ostatnich lat okazały się w większości płytkie i nietrwałe. Tymczasem kondycja polskiej nauki akademickiej jako takiej nie jest w ostatnich latach najlepsza, co widać po światowych rankingach.

ŚRODOWISKO AKADEMICKIE OD LAT PRÓBUJE RÓŻNYMI METODAMI DOJŚĆ DO POLITYCZNEJ LEWICOWO-LIBERALNEJ HOMOGENICZNOŚCI.

Działalność władz odpowiedzialnego za nią resortu stała się pasmem wielokrotnie opisywanych przez nas skandali. Zwiększenie różnorodności i prawdziwej samodzielności myślowej, intelektualnej, być może też finansowej, nikomu by w tej sytuacji nie zaszkodziło.

eprasa.pl e6696996e7

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Ostatni krok

Nieco ponad dziesięć lat temu obecność amerykańskich żołnierzy w Polsce była jednym z najważniejszych tematów naszej polityki bezpieczeństwa oraz celem, który połączył większość sił politycznych. Zabiegaliśmy o to, aby przyjeżdżali częściej, pozostawali dłużej, ćwiczyli z polskimi żołnierzami i traktowali nasz kraj nie tylko jako sojusznika na papierze, lecz również jako istotny punkt na wojskowej mapie Europy. Dziś jesteśmy o krok od tego, aby w naszym kraju powstała stała baza amerykańska.

W 2016 roku, podczas warszawskiego szczytu NATO, Sojusz zdecydował o wzmocnieniu swojej wschodniej flanki. Rok później do Polski przybyły jednostki amerykańskiej pancernej brygadowej grupy bojowej. Ich obecność miała charakter rotacyjny, ale była utrzymywana w sposób ciągły. Dla Polski był to istotny krok, ponieważ po wielu latach zabiegów mogliśmy wreszcie mówić o regularnej obecności amerykańskich jednostek bojowych w naszym kraju.

Chociaż rotacja ma swoje zalety, bo pozwala szkolić kolejne jednostki, zwiększać doświadczenie żołnierzy i utrzymywać obecność wojskową bez konieczności przenoszenia całych struktur na stałe, to jednak nie jest tym samym, co rozbudowana infrastruktura, trwałe zaplecze logistyczne i wieloletnie planowanie działalności wojskowej w konkretnym państwie.

Znaczenie amerykańskiej obecności wojskowej można rozpatrywać na kilku poziomach. Pierwszym jest oczywiście wymiar militarny. W razie kryzysu znaczenie ma nie tylko to, ilu żołnierzy znajduje się w danym momencie w Polsce, lecz także to, jak szybko można skierować dodatkowe siły, dostarczyć sprzęt, zorganizować zaopatrzenie i skoordynować działania różnych jednostek.

Drugi poziom to z kolei ten polityczny. Obecność amerykańskich żołnierzy oznacza, że bezpieczeństwo Polski jest bezpośrednio związane z bezpieczeństwem personelu i infrastruktury wojskowej Stanów Zjednoczonych, a potencjalny agresor musi uwzględniać możliwość, że jego działania zagrożą również amerykańskim jednostkom. Oczywiście nie oznacza to automatycznej reakcji Waszyngtonu, ale trwała obecność amerykańskich sił zbrojnych stanowi dodatkowy element odstraszania i wzmacnia praktyczny wymiar współpracy obronnej.

Niezależnie od niewątpliwego sukcesu, jakim byłyby stałe bazy USA w Polsce, powinniśmy jednak pamiętać przede wszystkim o własnych zdolnościach obronnych. Amerykańska infrastruktura może ułatwiać wspólne działania, ale nie zastępuje polskiej armii, jej zapasów amunicji, obrony powietrznej, logistyki ani przygotowania państwa na sytuację kryzysową. Stała baza będzie więc istotnym elementem systemu bezpieczeństwa, ale sama w sobie nie rozwiąże wszystkich naszych problemów.

Polska nie jest już jednak wyłącznie miejscem czasowego pobytu jednostek kierowanych na ćwiczenia, a staje się jednym z ośrodków dowodzenia i zaplecza logistycznego amerykańskich wojsk w Europie. To zasadnicza zmiana w relacjach polsko-amerykańskich, a jej znaczenie najlepiej oddaje fakt, że to, co jeszcze niedawno było przedmiotem wieloletnich zabiegów dyplomatycznych, stało się już częścią wojskowej codzienności naszego kraju.

eprasa.pl e6696996e7

Kiedy koniec wokeizmu na uczelniach w USA?

Fot. Adobe Stock

– Czas odebrać nasze niegdyś wspaniałe instytucje edukacyjne radykalnej lewicy i **zrobimy to** – mówił Donald Trump podczas kampanii wyborczej.

Agnieszka Żurek

Amerykański prezydent faktycznie wdrożył szereg zmian w krajowym systemie edukacji, jednak zaangażowanie USA w konflikt zbrojny na Bliskim Wschodzie oraz zabójstwo Charliego Kirka na Utah Valley University stały się nowymi, poważnymi zmiennymi w debacie publicznej na temat roli szkolnictwa wyższego w USA, z którymi Trump musi sobie poradzić.

Co się udało?

Do tradycyjnych linii podziałów ideologicznych na Republikanów i Demokratów doszły w ostatnich dwóch latach linie „poprzeczne" określające stosunek studentów do wojny w Iranie oraz do kwestii sposobu prowadzenia śledztwa w sprawie zabójstwa Kirka, jak również kierunku, w jakim zmierza założona przez niego organizacja Turning Point USA. I choć część wdrożonych przez Trumpa zmian w szkolnictwie wyższym jeszcze kilka lat temu byłaby zapewne przyjmowana przez Republikanów z entuzjazmem, wobec wyzwań obecnych czasów stają się one dalece niewystarczające.

Prześledźmy jednak, co udało się amerykańskiemu prezydentowi dotychczas zrobić. – Zwolnię radykalnie lewicowych akredytatorów, którzy pozwolili, aby nasze uczelnie zostały zdominowane przez marksistowskich maniaków i szaleńców. W ich miejsce przyjmiemy wnioski od nowych akredytatorów, którzy raz na zawsze narzucą uczelniom prawdziwe standardy – zapowiadał Trump.

eprasa.pl e6696996e7

Amerykański system akredytacyjny to (w teorii) niezależny, zdecentralizowany proces oceny jakości, w którym pozarządowe organizacje i komisje ekspertów sprawdzają, czy instytucje edukacyjne, szkoleniowe lub badawcze spełniają określone standardy. Dbać o to ma samo środowisko akademickie, a zadaniem rządu federalnego jest jedynie nadzorowanie rzetelności funkcjonowania agencji akredytacyjnych.

Trump wprowadził w tym systemie istotne zmiany. Za sprawą podpisanego przez amerykańskiego prezydenta dekretu władze federalne zyskały prawo do zawieszania lub odbierania akredytacji uczelniom wyższym, które wykazują „ideologiczne zaangażowanie" lub ograniczają wolność słowa konserwatywnych studentów i wykładowców. Wprowadzone zostały także przepisy obligujące uczelnie do pełnej jawności w procesach rekrutacyjnych oraz raportowania m.in. darowizn z zagranicy.

Trump zatwierdził także przepisy ograniczające ważność wiz studenckich i uczestników wymian uczelnianych do maksymalnie czterech lat, chcąc w ten sposób ukrócić nielegalną imigrację odbywającą się pod przykrywką przedłużających się w nieskończoność studiów.

Big Beautiful Bill

Amerykański prezydent zmienił także zasady dotyczące finansowania pożyczek studenckich. Ustawa One Big Beautiful Bill Act ograniczyła możliwość zapożyczania się studentów studiów magisterskich i doktoranckich oraz zniosła niektóre programy umarzania długów studenckich (Student Loan Forgiveness). Odebrano również tzw. status profesjonalny (oznaczający studia wyższe przygotowujące do wykonywania zawodów zaufania publicznego) niektórym kierunkom (takim jak pielęgniarstwo, praca socjalna czy architektura), co zmniejszyło limity pożyczek federalnych dostępnych dla studentów wybierających te profesje.

Administracja amerykańska przeprowadziła także rewizję wydatków Narodowego Instytutu Zdrowia oraz Narodowej Fundacji Nauki. Działania te miały na celu identyfikację obszarów, w których dochodziło do duplikowania projektów badawczych, i zaoszczędzenie w ten sposób pieniędzy.

Administracja Trumpa cofnęła również przepisy chroniące osoby LGBTQ+ w ramach tzw. Artykułu Dziewiątego, tj. ustawy zakazującej dyskryminacji ze względu na płeć we wszystkich programach edukacyjnych i działaniach instytucji otrzymujących fundusze federalne. Republikański prezydent podpisał też rozporządzenia wykonawcze zakazujące udziału zawodników transpłciowych (mężczyzn identyfikujących się jako kobiety) w żeńskich dyscyplinach sportowych, także akademickich.

Amerykański prezydent określił również nowe przepisy umożliwiające odbieranie prywatnym uczelniom możliwości zwolnienia z podatków w zamian za udzielanie pomocy finansowej studentom ze względu na ich rasę, w ramach realizacji tzw. programów różnorodnościowych. Celem tej reformy jest położenie kresu poprawności politycznej na uczelniach wyższych i zapewnienie równego dostępu do edukacji dla wszystkich obywateli. Urzędnicy administracji Trumpa wskazują, że preferencyjne warunki dla studentów ras innych niż biała są niezgodne z federalną ustawą o prawach obywatelskich z 1964 r. zakazującą dyskryminacji w edukacji. „Samo przemianowanie preferencji rasowych na sprawiedliwe, inkluzywne czy wspierające różnorodność nie zmienia ich dyskryminującego charakteru" – napisał na platformie X minister finansów Scott Bessent, ogłaszając projekt ustawy. Amerykański Departament Skarbu szacuje, że proponowane zmiany mogą dotyczyć nawet 18 tysięcy prywatnych placówek edukacyjnych. Jeśli nowe rozporządzenie zostanie przyjęte, wejdzie w życie po zakończeniu bieżącego roku akademickiego, czyli w połowie roku 2027.

WŁADZE FEDERALNE ZYSKAŁY PRAWO DO ZAWIESZANIA LUB ODBIERANIA AKREDYTACJI UCZELNIOM WYŻSZYM, KTÓRE WYKAZUJĄ „IDEOLOGICZNE ZAANGAŻOWANIE".

Zmiany dotyczące promocji ideologii LGBTQ+ na uczelniach i w świecie sportu akademickiego zostały przez część studentów przyjęte jako przejaw zdrowego rozsądku, u wielu wywołały jednak ostry sprzeciw. Kolejnym zarzewiem konfliktów toczących świat akademicki stała się polityka imigracyjna Trumpa, a także wojna na Bliskim Wschodzie. Protesty antywojenne, jakie wybuchły na amerykańskich uczelniach po tym, kiedy Stany Zjednoczone zaangażowały się militarnie po stronie Izraela, były porównywane do tych prowadzonych przez

eprasa.pl e6696996e7

studentów przeciwko wojnie w Wietnamie w roku 1968. W antywojenne strajki, często przeradzające się w okupację uczelnianych kampusów i tworzenie tam miasteczek studenckich, włączyły się najbardziej znane amerykańskie uczelnie wyższe, takie jak Columbia, Princeton czy Harvard. Kilka tysięcy studentów zostało wówczas aresztowanych, a trzy rektorki uczelni wyższych (w tym jedna Żydówka) zostały wezwane na przesłuchania przed kongresową Komisję Edukacji i Zatrudnienia w sprawie rzekomego zezwalania na rozprzestrzenianie się antysemityzmu. Ze stanowisk rektorskich zrezygnowały wówczas Claudine Gay z Uniwersytetu Harvarda i Elizabeth Magill z Uniwersytetu Pensylwanii, a rząd federalny zamroził lub odebrał wielomilionowe granty Uniwersytetowi Columbia (400 mln USD) oraz Uniwersytetowi Harvarda (w tym kolejne cięcia rzędu 450 mln USD oraz zamrożenie kwot sięgających 2,2 mld USD) za domniemaną bierność wobec nękania studentów żydowskich. Departament Edukacji USA wszczął także śledztwa w pięciu instytucjach szkolnictwa wyższego, w których zgłoszono powszechne nękanie na tle antysemickim. Śledztwem objęto nowojorski Columbia University, Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley, Uniwersytet Northwestern, Uniwersytet Stanowy w Portland oraz Uniwersytet Minnesoty w Twin Cities.

Erika zaorała TPUSA

Widać wyraźnie, że bieżące kwestie polityczne stanowią istotny czynnik determinujący sposób prowadzenia polityki w obszarze szkolnictwa wyższego w USA i można przypuszczać, że nieprędko się to zmieni. Pokazała to także debata polityczna, która przetoczyła się przez amerykańskie uczelnie i media po zabójstwie chrześcijańskiego aktywisty Charliego Kirka 10 września 2025 roku. Kirk przez lata tworzył organizację pozarządową Turning Point USA (Punkt Zwrotny USA), stawiając sobie za cel przywrócenie na amerykańskich uniwersytetach uczciwej debaty akademickiej. I udawało mu się to. Objazd uczelni, na których kampusach Kirk siadał za stolikiem z napisem „Prove me wrong" (Udowodnij, że się mylę) i zapraszał do rozmowy każdego, kto był otwarty na dyskusję, cieszył się dużym zainteresowaniem. Publiczne zabójstwo Kirka podczas jednej z takich debat wywołało ogromny szok i odebrało „niewinność" uczelnianemu życiu, kojarzącemu się tradycyjnie raczej ze zdobywaniem wiedzy i nawiązywaniem kontaktów towarzyskich niż z przemocą fizyczną, i to w jej ostatecznej formie. Zastrzelenie Charliego zabiło także de facto kierowaną przez niego organizację. Turning Point USA pod rządami wdowy po Kirku, Eriki, zamieniło się w swoją karykaturę, nie tylko pod względem ideowym, ale także organizacyjnym i ludzkim. Obecnie jest to de facto kolejna maszynka do zarabiania pieniędzy podporządkowana doraźnym agendom politycznym i organizująca sztywniackie wydarzenia, podczas których wiedzę, charyzmę, kulturę osobistą i naturalność Charliego zastępuje sztuczny, wyreżyserowany szoł aroganckiej „wesołej wdówki". Erika, według relacji odchodzących z kierowanej przez nią organizacji dawnych pracowników, wprowadziła w TPUSA zamordystyczne rządy i system donosicielstwa, który de facto pogrzebał dzieło Kirka.

> KIRK PRZEZ LATA TWORZYŁ ORGANIZACJĘ POZARZĄDOWĄ TURNING POINT USA, STAWIAJĄC SOBIE ZA CEL PRZYWRÓCENIE NA AMERYKAŃSKICH UNIWERSYTETACH UCZCIWEJ DEBATY AKADEMICKIEJ.

Nakarmić smoka

Kwestie politycznego zaangażowania uczelni wyższych i możliwości prowadzenia otwartych dysput akademickich będą z pewnością nadal przedmiotami debaty publicznej, jednak – jak wskazywałam na początku tekstu – nie jedynymi i być może wkrótce nawet nie najważniejszymi. W obszar edukacji wchodzi bowiem coraz śmielej sztuczna inteligencja, która może zmienić szkolnictwo wyższe na niewyobrażalną dziś jeszcze skalę. Zaczyna się nieciekawie – choć trudno w to uwierzyć, to w Stanach Zjednoczonych odbywa się obecnie, i to na ogromną skalę… niszczenie książek. Skojarzenia nasuwają się same i choćby nie wiem, jak sobie to zjawisko racjonalizować, nie da się uciec od jego ponurej symboliki.

„Firmy rozwijające modele AI coraz częściej sięgają po tradycyjne papierowe książki. Co więcej, wiele z nich jest po zeskanowaniu bezpowrotnie niszczonych. To zjawisko zaczyna wywoływać kontrowersje zarówno wśród księgarzy, jak i miłośników książek" – podaje serwis portaltechnologiczny.pl. „Rosnąca liczba firm rozwijających modele językowe poszukuje publikacji wydanych przed 2022 rokiem. Powód

eprasa.pl e6696996e7

jest prosty – zawierają one wyłącznie treści stworzone przez ludzi, bez domieszki tekstów generowanych przez sztuczną inteligencję. To ważne, ponieważ eksperci od dawna ostrzegają przed zjawiskiem określanym jako model collapse. Polega ono na stopniowym pogarszaniu jakości modeli AI, gdy są one trenowane na treściach wygenerowanych przez inne modele sztucznej inteligencji. Dlatego starsze książki uznawane są dziś za wyjątkowo wartościowe źródło wiedzy. Są redagowane, sprawdzane przez wydawców i ekspertów oraz zawierają uporządkowane informacje, których trudno szukać w chaotycznych zasobach internetu" – czytamy w serwisie. Problem w tym, że książki – także te rzadkie i dostępne w niewielu egzemplarzach – są po „nakarmieniu" smoka sztucznej inteligencj, nieodwracalnie niszczone. „Na rosnącym popycie korzystają wyspecjalizowane firmy. Jedną z nich jest ISBNdb, która utrzymuje jedną z największych baz danych książek na świecie. Firma oferuje klientom możliwość zakupu od tysiąca do nawet miliona papierowych książek, pozyskiwanych z rynku wtórnego – od bibliotek, antykwariatów, księgarni i prywatnych sprzedawców. Na razie nie wiadomo, jaka skala tego zjawiska dotyczy unikatowych wydań, jednak wraz z rosnącym zapotrzebowaniem na wysokiej jakości dane treningowe problem może stawać się coraz bardziej widoczny" – wskazują dziennikarze portalu.

Amerykański sąd uznał jednak te działania za zgodne z prawem, argumentując decyzję przekonaniem, że skoro autorzy dzieł otrzymali już kiedyś za nie odpowiednie wynagrodzenie, nikt nie ponosi tutaj szkody. Ten kierunek orzecznictwa sądowego nie uwzględnia jednak szkody społecznej, co stanowi niebezpieczny prognostyk. Jeśli miara wartości danego dzieła będzie miała wymiar jedynie materialny, być może wkrótce ludzka wiedza, doświadczenie i twórczość również przestaną być cenione. A stąd już tylko krok do realizacji – do niedawna uważanych za utopijne – wizji promotorów „ciemnego oświecenia" postulujących likwidację uniwersytetów jako instytucji przestarzałych i hamujących realny postęp społeczny. Główny ideolog tej myśli, Curtis Yarvin, uważa, że uczelnie wyższe (nazywane przez niego zbiorczo: „Katedrą") to „wroga infrastruktura ideologiczna", którą należy zdemontować, aby umożliwić wprowadzenie nowego, technokratyczno-monarchicznego porządku politycznego. Co ciekawe, proponował on w swoich pismach dokładnie to, co realizuje obecnie Trump, czyli odebranie uczelniom systemu zwolnień podatkowych oraz dotacji państwowych i finansowe „zagłodzenie" ich. Do zainteresowania dziełami Yarvina przyznaje się publicznie amerykański wiceprezydent J.D. Vance, a także guru Doliny Krzemowej, Palantirowy Wielki Brat – Peter Thiel. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że Yarvin uznaje demokrację za „nieudany eksperyment" i proponuje zastąpienie jej autorytarną monarchią „korporacyjną" (w której władzę absolutną sprawowałby ktoś w rodzaju „prezesa firmy"), pozostaje mieć nadzieję, że zainteresowanie to pozostanie w sferze – nomen omen – czysto akademickiej.

CURTIS YARVIN UWAŻA, ŻE UCZELNIE WYŻSZE TO „WROGA INFRASTRUKTURA IDEOLOGICZNA", KTÓRĄ NALEŻY ZDEMONTOWAĆ.

PRZESTAŃ TRUĆ **MICHALSKI**

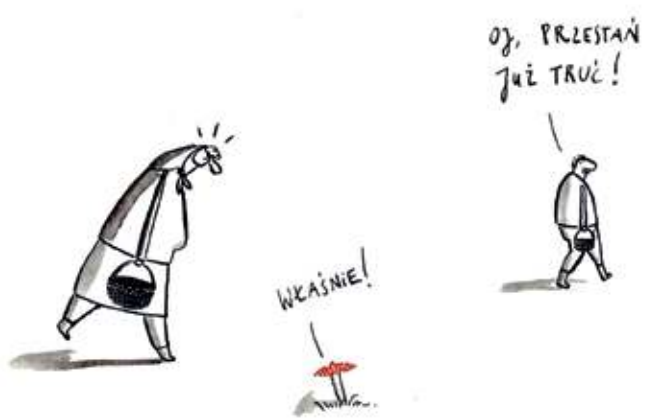

eprasa.pl e6696996e7

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Za satyrę na Władysława Gomułkę trafił na blisko trzy lata do więzienia. W III RP Sąd Najwyższy uniewinnił Janusza Szpotańskiego, uznając, że jego „Cisi i Gęgacze” byli klasyczną satyrą polityczną, a nie przestępstwem. W tekście opublikowanym w **nr. 25 (561) 18 czerwca 1999 roku Waldemar Żyszkiewicz** przedstawił z tej okazji sylwetkę niepokornego poety i tłumacza. Przypominamy ją z okazji 45-lecia „Tygodnika Solidarność”.

Satyra uniewinniona

Waldemar Żyszkiewicz

W wieku 35 lat Janusz Szpotański z okazji dwudziestolecia PRL ułożył satyrę „Cisi i Gęgacze, czyli bal u Prezydenta”. Z inicjatywy Gomułki, który poczuł się dotknięty do żywego zawartym w niej wizerunkiem Gnoma, peerelowski sąd skazał autora złośliwych kupletów na trzy lata więzienia. Naprzód na Mokotowie, a później w Barczewie Szpotański przesiedział aż trzydzieści jeden miesięcy. W odosobnieniu kontynuował „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości”, ryzykując nawet oskarżeniem o recydywę. W dziesiątym roku swego istnienia III RP sprawiła siedemdziesięcioletniemu dziś autorowi „Towarzysza Szmaciaka” i „Carycy Leonidy” swoisty prezent urodzinowy. Sąd uznał argumenty kasacji – dowodzące, że autor uprawiał klasyczną satyrę polityczną, co nawet w świetle ówczesnych przepisów nie stanowiło przestępstwa – i uniewinnił go.

27 maja br. siedmioosobowy skład Sądu Najwyższego pod przewodnictwem I prezesa SN prof. Lecha Gardockiego uchylił peerelowski wyrok i uniewinnił Janusza Szpotańskiego. Sąd uznał słuszność argumentów kasacji, wniesionej jeszcze przez Leszka Piotrowskiego. „Trafnie wywodzi się w niej, że utwór « Cisi i Gęgacze, czyli bal u Prezydenta » jest klasyczną satyrą polityczną. Wyszydza się w nim wady i śmieszności osób publicznych ze świata polityki i kultury oraz piętnuje ich zachowania, zdaniem autora niemoralne, oportunistyczne i niekorzystne dla kraju. […] Nie idzie więc o treści, które mogą być oceniane z punktu widzenia ich prawdziwości bądź nieprawdziwości, lecz o dozwolone w ramach wolności słowa oceny dotyczące spraw publicznych” – stwierdził SN w pisemnym uzasadnieniu swego werdyktu. Jeśli nawet zawarte w ówczesnej konstytucji

OSŁAWIONY „MAŁY KODEKS KARNY” UMOŻLIWIŁ ROZWŚCIECZONEMU WŁADYSŁAWOWI GOMUŁCE ZEMSTĘ NA AUTORZE ZŁOŚLIWYCH WIERSZY O GNOMIE, W KTÓRYM NAJZUPEŁNIEJ SŁUSZNIE ROZPOZNAWAŁ ON SIEBIE.

eprasa.pl e6696996e7

SYLWETKA

Satyra uniewinniona

W wieku 35 lat Janusz Szpotański z okazji dwudziestolecia PRL ułożył satyrę „Cisi i Gęgacze, czyli bal u Prezydenta". Z inicjatywy Gomułki, który poczuł się dotknięty do żywego zawartym w niej wizerunkiem Gnoma, peerelowski sąd skazał autora złośliwych kupletów na trzy lata więzienia. Naprzód na Mokotowie, a później w Barczewie Szpotański przesiedział aż trzydzieści jeden miesięcy. W odosobnieniu kontynuował „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości", ryzykując nawet oskarżeniem o recydywę. W dziesiątym roku swego istnienia III RP sprawiła siedemdziesięcioletniemu dziś autorowi „Towarzysza Szmaciaka" i „Carycy Leonidy" swoisty prezent urodzinowy. Sąd uznał argumenty kasacji — dowodzące, że autor uprawiał klasyczną satyrę polityczną, co nawet w świetle ówczesnych przepisów nie stanowiło przestępstwa — i uniewinnił go.

27 maja br. siedmioosobowy skład Sądu Najwyższego pod przewodnictwem I prezesa SN prof. Lechа Gardocкiego uchylił peerelowski wyrok i uniewinnił Janusza Szpotańskiego. Sąd uznał słuszność argumentów kasacji, wniesionej jeszcze przez Leszka Płotowskiego. „Trafnie wywodzi się w niej, że utwór «Cisi i Gęgacze, czyli bal u Prezydenta» jest klasyczną satyrą polityczną. Wyszydza się w nim wady i ułomności osób publicznych ze świata polityki i kultury, oraz piętnuje ich zachowania, zdaniem autora niemoralne, oportunistyczne i niekorzystne dla kraju. (...) Nie idzie więc o treści, które mogą być oceniane z punktu widzenia ich prawdziwości bądź rozpowszechniania, lecz o dozwolone w ramach wolności słowa oceny dotyczące spraw publicznych" — stwierdził SN w pisemnym uzasadnieniu swego werdyktu. Jeśli nawet zawarte w ówczesnej konstytucji gwarancje swobód obywatelskich, w tym wolności słowa, były tylko iluzoryczne i fikcyjne, to jednak „korzystanie z formalnie obowiązującego przepisu konstytucyjnego nie mogło naruszać przepisów mkk" — orzekł w konkluzji Sąd Najwyższy.

Sprawiedliwość socjalistyczna

To właśnie osławiony „mały kodeks karny" umożliwił rozwścieczonemu Władysławowi Gomułce zemstę na autorze złośliwych wierszy o Gnomie, w którym najzupełniej słusznie rozpoznawał on siebie. W zaakceptowanym przez Szpotańskiego wydaniu oficjalnym „Zebranych utworów poetyckich" (Puls, Londyn 1990) wiersze poświęcone Gomułce zajmują blisko siedemdziesiąt stron druku. Ich autor nie lubił i nie cenił tow. Wiesława, wyniesionego na fali polskiego października przywódcy PZPR, i specjalnie tego nie ukrywał. „Jaki stary jest Gnom, jak rączyny mu drżą, gdy nas starczym zanudza bredzeniem" — pisał później w „Targowicy, czyli operze Gnoma". Ale nie były to wcale najbardziej drastyczne sformułowania. Gnom w rewanżu publicznie nazwał Szpotańskiego „człowiekiem o mentalności alfonsa", a „Cichych i Gęgaczy" — „reakcyjnym paszkwilem, ziejącym sadystycznym jadem nienawiści do naszej partii".

Ówczesny wymiar sprawiedliwości, oczywiście sprawiedliwości socjalistycznej, łatwo poradził sobie zarówno z zebraniem dowodów obciążających anonimowego przecież autora zjadliwych kupletów, jak i prawną kwalifikacją czynu. Szpotańskiego aresztowano i oskarżono o „rozpowszechnianie fałszywych treści o stosunkach społeczno-politycznych i gospodarczych istniejących w Polsce, a także o czołowych przedstawicielach Państwa Polskiego". Zdaniem prokuratora, mogło to „wyrządzić istotną szkodę interesom PRL oraz obniżyć powagę jej naczelnych organów". Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy w lutym 1968 roku skazał za to Szpotańskiego na trzy lata więzienia, a Sąd Najwyższy w maju tegoż roku wyrok zatwierdził.

Szyderca czy niezależny myśliciel?

Janusz Szpotański, zwany przez przyjaciół „Szpotem", nie lubi mówić o sobie ani o swoim dorobku twórczym. Unika samookreśleń i autodeklaracji, ale broni się także przed wszelkimi etykietkami z zewnątrz, niezbędnymi, aby jakoś przybliżyć jego osobę choćby nowej generacji czytelników, która nie zna przecież licznych strof o Gnomie, nie potrafi ulokować w czasie i przestrzeni tow. Szmaciaka, a nawet nie

Tiką miała w sobie parę,
że drżał każdy przed nią, a reakcji zapluwego karła
niewątpliwie w proch by starła,
traf chciał jednak, że umarła.
Pochowano więc w mogile
zasłużoną Widerszpilę.

Pogrzeb miała jak się patrzy:
wieńcy i mlot na grobie na krzyż,
mów zaś pięknych było tyle,
że spłakała się w mogile.

Lecz gdy się skończyła pompa,
cicho ktoś przez cmentarz stąpa
i przystaje tuż przed grobem.

Pewnie kochał tę osobę,
bo łza spływa mu po wargach,
pierś zaś targa cicha skarga.
To nad grobem Widerszpili
cichi kwili Dżigaszwili.

Końcowy fragment utworu, za który Szpotański wyleciał ze studiów (1952)

Szyderca czy niezależny myśliciel?

Janusz Szpotański, zwany przez przyjaciół „Szpotem", nie lubi mówić o sobie ani o swoim dorobku twórczym. Unika samookreśleń i autodeklaracji, ale broni się także przed wszelkimi etykietkami z zewnątrz, niezbędnymi, aby jakoś przybliżyć jego osobę choćby nowej generacji czytelników, która nie zna przecież licznych strof o Gnomie, nie potrafi ulokować w czasie i przestrzeni tow. Szmaciaka, a nawet nie

eprasa.pl e6696996e7

wie, co gorsza, dlaczego „Balladę o Łupaszce” dedykował Szpotański Pawłowi Jasienicy. Dystans autora do własnej osoby, jak również do kunsztownych językowo i przenikliwych poznawczo satyr z czasów peerelowskich, które wzdraga się nazywać twórczością, ma w sobie coś z ducha gombrowiczowskiej „ucieczki przed gębą”. Jednak pewna nieśmiałość czy niedostateczna pewność siebie, zmieniająca się u Gombrowicza w zarozumiałość, pychę, a nawet w owo pseudoarystokratyczne „puszenie się”, u Szpotańskiego przejawia się w przesadnej nieraz skromności.

O swoim życiu, nawet o doświadczeniach więziennych, mówi jakby od niechcenia, niemal z lekceważeniem. Owszem, zdarzyło mu się ułożyć to i owo, właściwie przypadkiem, dla rozbawienia grona zaprzyjaźnionych słuchaczy albo dla wsadzenia szpili w bok koleżance-zetempówie, przez którą zresztą wyrzucono go z nielubianej rusycystyki. Wiersz o niej jest zręczny i dowcipny, a jednocześnie absolutnie cenzuralny obyczajowo, co wcale nie jest częstym przymiotem twórczości „Szpata”. Zapytany o powody, dla których strofy poświęcone towarzyszowi Prokopiakowi, tj. Szmaciakowi, charakteryzują się dość „plugawym” językiem, a nadto ociekają erotyzmem, autor odpowiada, że o wyborze takiego właśnie języka zdecydowała jakość portretowanej rzeczywistości. – Peerelowscy Szmaciakowie sami wiedli żywot plugawy i używali szmatławego języka, toteż nawet literacka wizja świata, który ucieleśniali, powinna odstręczać czytającego – uważa. Nasuwa się jednak pytanie, czy powodem „złej obecności” pamfletów Szpotańskiego w naszej literaturze współczesnej, oprócz oczywiście całkowitego braku starań autora o własne interesy, nie jest także częsta w jego utworach obsceniczność języka.

Kim więc jest ten niepokorny absolwent polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego? Pisze, ale nie jest pisarzem. Tłumaczy poezją niemiecką i austriacką, a także wespół z Antonim Liberą tragedie Sofoklesa, ale nie przedstawia się jako tłumacz. Wiele czyta, chętnie oddaje się rozmyślaniom, niekoniecznie ograniczonym do sfery kultury wysokiej. I przez cały czas bacznie obserwuje rzeczywistość. Z pasją rozprawia o polityce, ale to wcale nie znaczy, że chciałby ją uprawiać. Na to jest zresztą zbyt niezależny.

Można by sądzić, że jako wróg ustroju będzie hołubiony na salonach opozycyjnych. Nic błędniejszego. Ale jeśli ktoś twierdzi dziś uparcie, że chrześcijaństwo ma nadal żywotną rolę do odegrania, że wchodzenie do Europy w charakterze narodu pariasów, dyrygowanych przez siły zewnętrzne nie ma sensu, że wreszcie komunizm był najstraszliwszą tyranią w historii świata, a ekszamordyści nie nadają się na nauczycieli tolerancji – to przecież tylko sam sobie jest winien.

Życie anegdotą

Lubi anegdoty, zabawne historyjki, żarty. Chętnie je opowiada, zwłaszcza jeśli nie dotyczą znajomych, lecz osób publicznie znanych. Do sprawy swego procesu i uwięzienia powraca niechętnie. – Właściwie Gnom wyświadczył mi przysługę, uczynił mnie znaną postacią. Nawet amerykański „Time” poświęcił kolumnę osobie skromnego wierszoklety prześladowanego przez komunistyczny reżim – ironizuje.

Można powiedzieć, że właściwie Janusz Szpotański miał szczęście. Przy okazji jego rozgrywki z Gomułką najwyższą cenę zapłacił bowiem aktor Adam Pawlikowski. Ten sam, który w „Popiele i diamencie” gra rolę zwierzchnika Maćka Chełmickiego z konspiracji. Cisi, czyli ubecy, jakoś Pawlikowskiego podeszli, a może zastraszyli, złamali. Wymusili zeznania, które umożliwiły identyfikację autora nieprawomyślnych kupletów. Gdy sprawa wyszła na jaw, Pawlikowskiego poddano towarzyskiemu ostracyzmowi. Aktor nie wytrzymał presji i wyskoczył przez okno.

Ale Janusz Szpotański nie chce rozmawiać o Pawlikowskim. Zresztą w ogóle nic jest pewien, czy to uniewinnienie go cieszy. Bo przecież zdejmując zeń piętno karalności, zarazem go degraduje. Z publicznego wroga numer 1 – autor „Gęgaczy” staje się tylko ofiarą socjalistycznej niepraworządności. Więc z czego tu się cieszyć?

„WŁAŚCIWIE GNOM WYŚWIADCZYŁ MI PRZYSŁUGĘ, UCZYNIŁ MNIE ZNANĄ POSTACIĄ. NAWET AMERYKAŃSKI «TIME» POŚWIĘCIŁ KOLUMNĘ OSOBIE SKROMNEGO WIERSZOKLETY PRZEŚLADOWANEGO PRZEZ KOMUNISTYCZNY REŻIM”.

eprasa.pl e6696996e7

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Już kochamy polskie sądy

Jan Wróbel

Pamiętam, że kiedy powstawała Polska Fundacja Narodowa, towarzyszył jej medialny hejcik. Hejcik pochodną był hejtu antypisowskiego, jasne. Gdyby PiS w czasach swoich rządów podwoiło obszar rezerwatów przyrody, to przyroda oberwałaby za próbę kolaboracji z pisowskim okupantem. Ale powstanie PFN irytowało również ze względu na ideę założycielską. Budziło oburzenie polskich elit spod znaku „demokratycznej europejskiej Polski", że jakaś wyspecjalizowana instytucja kształtowała pozytywny wizerunek polskiej marki i gospodarki za granicą. Jak to mówić, i to za granicą, dobrze o Polsce? Żeby jeszcze uwypuklać przy tym ciemne plamy na polskiej historii... Te jakoś budziły w środowiskach antypisu znacznie większy entuzjazm.

Byłem fanem idei PFN. Łatwo chyba sobie zatem wyobrazić, co myślałem, kiedy Fundacja uruchomiła kampanię „Sprawiedliwe sądy". A dawaj ośmieszać sądy, wspierać rząd. No, taka promocja Polski... Pokazówka, że w kraju polaryzacji można łamać zasady etyki – i co nam pan zrobi? Opozycja darła szaty, pisowcy podskakiwali zachwyceni, wicepremier Piotr Gliński chodził, jakby miał baloniki z helem doczepione do łopatek.

Sądy złe, PiS dobre. Ale to był 2017 rok. Bo w roku 2026 PiS wciąż jest dobre, ale sądy, jak się okazuje, wcale nie są złe. PiS narobiło takiego bałaganu w systemie wymiaru sprawiedliwości, że tylko płakać. Pomstowało na „kastę" i biadało, że określone siły (b. prezydent Andrzej Duda) uniemożliwiły prawdziwą reformę sądów. Tylko że w czasach rządów Donalda Tuska te niedoreformowane sądy co i rusz skazują jakiegoś pełowca. Albo nie aresztują jakiegoś antypełowca.

Kiedy sąd rodzinny w uzasadnieniu głośnej ostatnio sprawy „Naród Polski przeciwko Rzecznicze Praw Dziecka" druzgoce postępowanie pani rzecznik, okazuje się, że sąd jest przecież superdobry. Wiarygodny, profesjonalny i moralnie wzorowy – przecież przysolił tuskowej pani minister.

Sądy, sądy, niech żyją, żyją nam... Jeszcze tego samego dnia, w którym fragmenty orzeczenia sądu rodzinnego publikuje zero.pl, PiS składa wniosek o odwołanie rzeczniczki. Dawno, dawno temu prawica broniła kilku fundamentalnych zasad porządku prawnego. Chociażby takiej, że zanim spadnie topór, musimy dowiedzieć się, co się stało. Współczesnej emanacji prawicy zazwyczaj nic takiego nie jest potrzebne. Przecież dziennikarz napisał. Przecież sąd napisał. Amen. I to szybko wypowiadane amen, bo jak PiS nie zdąży ze swoim wnioskiem, to zrobi to Mateusz Morawiecki. No i się sprawa rypnie.

Nawiasem mówiąc, ciekawe, czy doczekamy się kolejnej kampanii Polskiej Fundacji Narodowej w sprawie sądów. No, że są złe, pisowskie. Nawet widziałbym pasującą nazwę dla kampanii: „Tusku, musisz". Nieprawdopodobne? Szybkość, z jaką KO upodobniła się do Zjednoczonej Prawicy, już nieraz zaskoczyła.

SĄD RODZINNY OKAZAŁ SIĘ TAK DOBRY, ŻE PRZYSOLIŁ TUSKOWEJ PANI MINISTER. TO WŁAŚNIE NAZYWAMY PROFESJONALIZMEM I BEZSTRONNOŚCIĄ.

eprasa.pl e6696996e7

SUWERENNOŚĆ

– o to naprawdę toczy się spór

Przekazanie jak największych kompetencji do Brukseli i ubezwłasnowolnienie polskiego rządu – taki jest **realny cel** rządów Donalda Tuska. Tu wykazuje się konsekwencją i determinacją, której nie widać w żadnej innej sferze sprawowania przez niego władzy.

Mariusz Staniszewski

Jeśli wszystkie działania obecnego premiera odrzemy z warstwy propagandowej, odsuniemy na bok zwierzęcą wręcz nienawiść do PiS i zapomnimy o serwowanej nam papce o modernizacji, to obraz, który zostaje, jest przerażający. Celem nadrzędnym polityki Donalda Tuska jest maksymalne pozbawienie Polski suwerenności. Widać to niemal w każdym wymiarze rządzenia.

Wszystko to dzieje się oczywiście pod płaszczykiem europejskiej solidarności, praworządności i chęci przestrzegania praw człowieka.

W tym miesiącu Sejm przyjął ustawę, która nie wywołała takich emocji jak Porsche Dawida Kacprzyka czy napisany przez AI raport Barbary Mróz-Gorgoń. Skutki tych regulacji – jeśli wejdą w życie – fundamentalnie zmieniają ustrój państwa.

Podległość europejskim sądom

Chodzi o ustawę, która nakłada na polski rząd bezwzględny obowiązek wykonywania wyroków Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. W rzeczywistości oznacza to, że orzeczenia ETPC mają być ważniejsze niż na przykład wyroki Trybunału Konstytucyjnego oraz w ogóle wyższość prawa europejskiego nad polską konstytucją.

Jeśli w Polsce źródłem prawa miałyby być orzeczenia europejskiego trybunału, to aborcja z przyczyn społecznych stałaby się w naszym kraju w pełni legalna, niemal z automatu nastąpiłoby zrównanie prawne jednopłciowych związków partnerskich z małżeństwami, pociągając za sobą wszystkie tego konsekwencje prawne i finansowe.

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl e6696996e7

ETPC mógłby swobodnie kształtować ustrój polskich sądów, odbierając te uprawnienia Krajowej Radzie Sądownictwa i prezydentowi. W rzeczywistości więc oddalibyśmy międzynarodowej instytucji ogromne kompetencje o charakterze ustrojowym.

Ustawa ta, jeśli nie zawetuje jej prezydent Karol Nawrocki, znacząco wpłynęłaby na stan bezpieczeństwa naszego kraju. Orzeczenia Europejskiego Trybunału Praw Człowieka utrudniają lub wręcz uniemożliwiają deportacje nielegalnych imigrantów, nawet jeśli dotyczą przestępców.

Przykładem takiej sytuacji jest niedawny wyrok, w którym ETPC potępił Danię za deportację irakijskiego handlarza narkotyków. Według sędziów, chroniąc swoich obywateli, Dania naruszyła prawo przestępcy do poszanowania życia prywatnego i rodzinnego.

KOMISJA EUROPEJSKA MOŻE NIEMAL W KAŻDEJ CHWILI ZARZĄDZIĆ PRZYMUSOWĄ RELOKACJĘ IMIGRANTÓW Z TERENU PAŃSTW EUROPY ZACHODNIEJ I UMIEŚCIĆ ICH W POLSCE.

Otwarcie na migrację

Ten ostatni element jest szczególnie istotny w kontekście podpisania przez Polskę paktu migracyjnego. O dokumencie tym przez osiem lat nie chciały nawet słyszeć rządy prawicy, Tusk zaś zgodził się na niego w pierwszych tygodniach sprawowania urzędu.

To w rzeczywistości oddanie Unii Europejskiej kontroli nad naszą polityką migracyjną, a zatem także polityką bezpieczeństwa i socjalną. Komisja Europejska może niemal w każdej chwili zarządzić przymusową relokację imigrantów znajdujących się terenie państw Europy Zachodniej i umieścić ich w ośrodkach w Polsce.

Nawet jeśli na razie KE odsunęła o rok rozpoczęcie takiego procesu, to polskie władze muszą co roku wnioskować o przedłużenie tej decyzji. To od Komisji Europejskiej zależy teraz, czy obywatele naszego kraju będą musieli zrzucić się na utrzymanie tysięcy przybyszów. Rząd w Warszawie sam sprowadził się do pozycji petenta wobec unijnej biurokracji oraz wykonawcy jej decyzji.

Niezwykle istotne są zapisy, także zaakceptowane przez ekipę Tuska, zgodnie z którymi przesiedleni do Polski imigranci mają otrzymywać świadczenia tej samej wysokości jak w kraju, w którym wcześniej przebywali. Oznacza to, że ich zasiłki będą znacznie wyższe niż na przykład polskich bezrobotnych czy wielodzietnych rodzin. W efekcie UE może bez żadnych konsekwencji wpływać na wydatki naszego kraju oraz stan budżetu centralnego, który w związku z napływem migrantów zostanie obciążony dodatkowymi kosztami.

Doświadczenia krajów Zachodu pokazują, że przybycie dużej liczby imigrantów to także dodatkowe zadania dla policji i służb specjalnych. Z jednej strony osłabia to bezpieczeństwo polskich obywateli, z drugiej – generuje dodatkowe koszty.

Rząd Tuska przekazał więc do Brukseli potężne narzędzie wpływania na polską politykę oraz nastroje społeczne.

Przejąć lub skompromitować

Aby wzmocnić znaczenie europejskich trybunałów, Donald Tusk i jego ekipa od dekady prowadzą kampanię, która ma osłabić znaczenie najważniejszego sądu w Polsce, czyli Trybunału Konstytucyjnego. Polityczne i prawne elity III RP wyszły z założenia, że instytucja ta może reprezentować jedynie jedno środowisko i jeden punkt widzenia. Wprowadzenie tam ludzi o innych poglądach uznali za zamach. Najpierw więc delegowali nadwymiarowych sędziów, a następnie z konsekwencją paraliżowali prace Trybunału. Gdy przejęli władzę, odmówili mu legalności. Nie dość, że całkowicie bezprawnie, to jeszcze z ostentacją godną bolszewików.

Istotą nie jest nawet samo przejęcie TK, ale całkowite odebranie mu mocy. Trybunał jest solą w oku europejskiej biurokracji, która dąży do całkowitego podporządkowania sobie państw narodowych. Szczególnie tych z Europy Środkowej, które traktowane są jako podrzędne. Ich spacyfikowanie jest trudne, gdy kraje te stoją na stanowisku, że ich własna konstytucje jest najistotniejszym źródłem prawa – a tak właśnie orzekł polski Trybunał Konstytucyjny.

Najpierw wywołało to histeryczną reakcję polskiej lewicy i liberałów, a następnie odbiło się echem w Brukseli. Nawet jeśli Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej uznał, że wyrok ten jest bezprawny, to w Polsce ma on znaczenie jedynie propagandowo-polityczne. Skoro TK orzekł o wyższości polskiej ustawy zasadniczej nad prawem europejskim, to wyrok TSUE ma niższą rangę.

Tusk wyszedł więc z założenia, że jeśli nie może szybko przejąć Trybunału Konstytucyjnego

epraesa.pl e6f9009e6e7

– przed rozwiązaniem siłowym powstrzymali go podobno dwaj byli prezesi tej instytucji Jerzy Stępień i Marek Safjan – to musi ten sąd zniszczyć. Dlatego premier posłał tam Macieja Berka, który nie spełnia nawet wymogów formalnych do pełnienia funkcji sędziego TK. To nie tylko gest lekceważenia tego sądu, ale deprecjonowanie jego znaczenia. Drwienie z powagi, jaką powinien reprezentować TK.

Ostateczna kompromitacja Trybunału Konstytucyjnego i brak możliwości odbudowania jego znaczenia – to mogłoby się odbyć jedynie przy szerokim konsensusie politycznym, a Tusk do tego nie dopuści – otwiera drogę do supremacji trybunałów europejskich, które będą jawiły się jako instytucje stabilne. Mało kto dziś pamięta o skandalu, jaki opisał francuski „Libération", gdy sędziowie TSUE spotykali się z politykami europejskimi Europejskiej Partii Ludowej (jej przewodniczącym był Donald Tusk) oraz urzędnikami europejskimi na zamkniętych przyjęciach we francuskim zamku Chambord. Pismo zarzuciło sędziom i politykom konflikt interesów, handel wpływami oraz nielegalne finansowanie spotkań z pieniędzy publicznych.

Choć ujawnienie tego skandalu wywołało burzę, wobec nikogo nie zostały wyciągnięte konsekwencje. Nie wprowadzono także żadnych dodatkowych regulacji ograniczających tego rodzaju spotkania.

WYBÓR MACIEJA BERKA DO PEŁNIENIA FUNKCJI SĘDZIEGO TK TO NIE TYLKO GEST LEKCEWAŻENIA TEGO SĄDU, ALE DEPRECJONOWANIE JEGO ZNACZENIA.

Bezprawna pożyczka

Kolejnym elementem odbierania kompetencji rządowi w Warszawie i przekazywania ich do Brukseli jest nielegalne przystąpienie do programu SAFE. Już sam fakt pomięcia prezydenckiego weta do ustawy, która miała być podstawą do podpisania międzynarodowej umowy, jest osłabieniem naszej suwerenności. Oto polski rząd wspólnie z Komisją Europejską jawnie łamią prawo, by pominąć głowę państwa i podpisać dokument, który niemiecki Bundestag uznał za sprzeczny z europejskimi traktatami.

W tej sytuacji premier jawnie występuje przeciw własnemu prezydentowi, a jego sojusznikiem jest podmiot zagraniczny. To nie tylko przywołuje najgorsze karty naszej historii, to także otwarte kwestionowanie demokracji i głosu Polaków, którzy wybrali Karola Nawrockiego.

Drugim aspektem tej sprawy jest oddanie kompetencji w tak wrażliwej kwestii jak uzbrojenie Wojska Polskiego w ręce instytucji międzynarodowej. Od tego momentu ogromny wpływ na naszą obronność przez najbliższe lata będą mieli urzędnicy w Brukseli. To oni zdecydują, które zakupy będą finansowane z pożyczki SAFE, a które nie. Oznacza to, że o wydatkach kluczowych dla naszego bezpieczeństwa będzie decydował urzędnik spoza Polski. A właściwie już to robi, bo program ruszył, a pieniądze z Brukseli jeszcze nie przypłynęły, gdyż wnioski są dopiero rozpatrywane.

Na ten mechanizm zwróciła uwagę agencja Moody's, która pierwszy raz od dwóch dekad obniżyła rating Polski. W uzasadnieniu do swojej decyzji wskazała ogromne i narastające zadłużenie naszego kraju, które powiększa się znacznie m.in. z powodu przystąpienia do SAFE. Polska musi najpierw wyłożyć miliardy euro, które pochodzą z zaciąganych na rynku pożyczek, aby później liczyć na przelew z Brukseli. Nie jest to jednak dotacja, ale transza kredytu już zaciągniętego.

Przez ten mechanizm Polska wpada w spiralę zadłużenia, a Komisja Europejska ma swobodę w decydowaniu, czy i kiedy wypłacić nam nasze pieniądze.

OGROMNY WPŁYW NA NASZĄ OBRONNOŚĆ BĘDĄ MIELI URZĘDNICY W BRUKSELI. TO ONI ZDECYDUJĄ, KTÓRE ZAKUPY BĘDĄ FINANSOWANE Z POŻYCZKI SAFE, A KTÓRE NIE.

Tusk doskonale wiedział, że dokładnie takie będą skutki tej umowy. Dlatego właśnie tak mocno parł do jej zawarcia. Przekazał Brukseli potężny oręż w walce z polskim rządem.

eprasa.pl e6696996e7

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Cezary Krysztopa

Władcy dzieci

Rzecznik praw dziecka Monika Horna-Cieślak doprowadziła do odebrania dzieci rodzicom po tym, jak sama miała sprzeczkę z matką na ulicy. Oczywiście możemy nie znać wszystkich okoliczności, oczywiście RPD broni się, wyliczając procedury, ale to samo w sobie nie brzmi już najlepiej.

A jeśli się do tego doda wcześniejsze oskarżenia o mobbing, o szczucie na lodziarnię, która dawała lody za darmo dzieciom ze świadectwem z biało-czerwonym paskiem, uzasadnienie decyzji sądu, w którym czytamy między innymi o „próbach wykorzystania autorytetu piastowanego urzędu do przeforsowania z góry założonej, na podstawie osobistego poczucia obrażenia przez matkę małoletnich, tezy o konieczności zabrania jej dzieci" czy „machinie państwowej i urzędowej, która została tu uruchomiona w sposób rażąco nieproporcjonalny do zaistniałego zdarzenia", czy wręcz o „przemocy instytucjonalnej", to próby przedstawienia Moniki Hornej-Cieślak jako „dobrego człowieka" przez jej kolegów brzmią wręcz żałośnie.

A ja, o ile na podstawie dostępnych informacji oceniam Monikę Horną-Cieślak dobrze, to jej przypadek jest elementem szerszego zjawiska, które nazywam „Władcami dzieci". To środowisko, czy też ten rodzaj formacji środowiskowej, znam z autopsji. Moja Mama zmarła, kiedy miałem 15 lat, moja Siostra miała wtedy 12. Latami błagałem przeróżnych urzędników o to, by nas nie rozdzielali i nie umieszczali w domach dziecka. Udało się, ale tamten czas zostawił we mnie głębokie emocjonalne rany. Nie tylko z powodu urzędników oczywiście, ale między innymi.

Monika Horna-Cieślak jest typową przedstawicielką swojego „uśmiechniętego" środowiska. „Władców dzieci", którzy za moich czasów byli urzędnikami siedzącymi w urzędach od głębokiej komuny, a teraz najczęściej przywdziewają tęczowe szatki. „Władców dzieci", którzy sami najczęściej dzieci nie mając, zawsze wiedzą lepiej od rodziców, co jest dla cudzego dziecka dobre, a ich głowy są wypełnione lewackimi „mądrościami". Bezdusznych urzędników mających odpowiedniki w jugendamtach całej Europy Zachodniej.

Problem jest również systemowy. A leży nie tylko w urzędnikach, ale również w sądach orzekających z „Gazetą Wyborczą" na stole sędziowskim. A być może w największym stopniu w „wiodących mediach", które mają ambicję inżynierii społecznej, począwszy od sztucznej promocji feminatywów, a skończywszy na obrzydzaniu instytucji rodziny, która jest w ich przekazie wyłącznie siedliskiem patologii, a wszystko jest od niej lepsze, od „dumy z wtykania co popadnie komukolwiek w dowolne jamy ciała" po łajdaczenie się na wakacjach w Egipcie.

Od lat z tą patologią walczy Ordo Iuris. Wyciągają dzieci z łap „Władców dzieci" i oddają je rodzinom. A my na Tysolu pomagamy im, jak umiemy. I Wy im pomagajcie. Nie dajmy się ani „Władcom", ani ich poputczikom.

Bo, pomijając dziecięce tragedie, jeśli jest jakiś, pośród innych, najważniejszy powód katastrofy demograficznej, to właśnie oni.

eprasa.pl e6696996e7

Na prawicy ciężko

Mam dla Państwa bardzo **dużo złych wiadomości**. Jest też kilka dobrych, choć na razie niepotwierdzonych. Nie tak dawno zastanawialiśmy się, jak będzie wyglądać za rok, tuż przed wyborami, nasza scena polityczna. Cóż, przyjemniej myśleć o tym, co może się zdarzyć za kilkanaście miesięcy, niż patrzeć na to, co dzieje się teraz.

Krzysztof Karnkowski

OGŁOSZENIE PRZEMYSŁAWA CZARNKA KANDYDATEM PiS NA PREMIERA MIAŁO UPORZĄDKOWAĆ KWESTIĘ PRZYWÓDZTWA PRZED WYBORAMI 2027 I POMÓC W ODZYSKANIU DOMINACJI NA PRAWICY.

Fot. Jacek Szydłowski / Forum

eprasa.pl e6696996e7

Dzisiejszy pejzaż po szeroko pojętej umownej prawej stronie sceny politycznej (nie wchodzę tu w dywagacje, czy PiS to partia prawicowa) jest bardzo bogaty. To bogactwo jest jednak pozorne i ryzykowne, jeśli pamiętać o premiującej dużych ordynacji wyborczej. Donald Tusk nie musi wygrać kolejnych wyborów, jednak może utrzymać władzę dzięki rozdrobnieniu opozycji. Dziś opozycyjny wyborca ma do wyboru: Prawo i Sprawiedliwość, Konfederację, Konfederację Korony Polskiej i Rozwój Plus. Na tym się nie kończy – zapewne wystartują jeszcze Bezpartyjni Samorządowcy dr. Marka Wocha, może też pojawić się niespodziewany uczestnik gry, taki jak Polska Jest Jedna. W 2023 roku na listy BS i PJJ padło ponad 750 tys. głosów, czyli około 3,5% – za mało, by przesądzić o większości, ale wystarczająco dużo, by jeszcze bardziej PiS od niej oddalić.

Nikt nie wierzy, ale...

W sondaże oficjalnie nikt nie wierzy, choć partyjne przekaźniki podają je w świat, jeśli służą doraźnej propagandzie. Wrześniowe badania nie dają jednego obrazu kondycji partii, ale dość zgodnie pokazują dwa zjawiska: stabilną przewagę Koalicji Obywatelskiej oraz znacznie większe niż kilka miesięcy temu rozdrobnienie prawej strony. Najlepiej widać to w dwóch badaniach United Surveys by IBRiS dla WP. Na początku miesiąca PiS miał 19,2 proc., Konfederacja – 15,1 proc., KKP – 6,8 proc., a Rozwój Plus – 6 proc.; cztery ugrupowania uzyskiwały w symulacji 246 mandatów. W badaniu z 18–20 września PiS spadło do 17,2 proc., Konfederacja do 12,9 proc., R+ do 5,3 proc., natomiast poparcie dla KKP Grzegorza Brauna wzrosło do 10,9 proc.; tym razem cała czwórka otrzymała 229 mandatów, o dwa mniej od większości. Podobną zmianę pozycji PiS odnotował CBOS: w pierwszej dekadzie września partia miała 15 proc., niemal tyle samo co Konfederacja – 14,8 proc. – a autor badania zwracał uwagę, że po odejściu środowiska Mateusza Morawieckiego PiS traci przewagę nad pozostałymi ugrupowaniami prawicy. Rozwój Plus uzyskał tam 3,7 proc., choć po statystycznym rozdzieleniu głosów niezdecydowanych wynik wzrastał do 6,2 proc. Badania z 23 września potwierdzają dużą rozpiętość ocen PiS: IBRiS dla „Rzeczpospolitej" daje mu 17,3 proc., przy 15,3 proc. Konfederacji, 10 proc. KKP i 6,4 proc. R+, natomiast Pollster dla „Super Expressu" – 22,59 proc., przy odpowiednio 14,17 proc., 7,28 proc. i 5,20 proc. Wspólny wniosek jest więc ostrożniejszy niż wskazywanie zwycięzcy po prawej stronie: PiS pozostaje największą partią tego obozu, ale jego przewaga wyraźnie się skurczyła, Konfederacja utrzymuje kilkunastoprocentowy elektorat, KKP stała się samodzielną liczącą się siłą, a Rozwój Plus w większości pomiarów balansuje w pobliżu progu wyborczego. Co nam to mówi? Kilka rzeczy.

Nie ma lidera

Po pierwsze, PiS nadal nie zyskuje, choć miało zgarnąć premię za większą wyrazistość najpierw po ogłoszeniu kandydatury Przemysława Czarnka na premiera, później po ideowym ujednoliceniu. Rozwój Plus też nie jest w najlepszej pozycji, co dawni koledzy skwapliwie wypominają ludziom Morawieckiego. Choć były premier wciąż powtarza, że jego ugrupowanie dopiero ogłosi kluczowe elementy programu, początki są gorsze od oczekiwań. Jeśli liczyć razem obie siły polityczne tworzące PiS przed rozłamem, wynik też nie imponuje, choć w takim układzie dystans do PO wyraźnie się zmniejsza. Konfederacja wpadła znów w swoją „pułapkę średniego poparcia", zyskując wynik niezły, lecz od dawna stojący wyraźnie poniżej 15 proc. Dobrze wypada Grzegorz Braun i na tym oferta się kończy. Prawo i Sprawiedliwość ze swoją niewielką przewagą przestaje być nie tylko najpoważniejszą ofertą, lecz nawet „pierwszym wśród równych", stając się jedną z kilku partii o podobnym poparciu. Coraz gorzej radzi sobie z tą rolą, wciąż tkwiąc mentalnie w roku 2019, tyle że już bez Mateusza Morawieckiego. Przekłada się to na drugą ważną obserwację. Od 1989 roku, gdy Polacy byli zmęczeni władzą, jej polityką,

DONALD TUSK NIE MUSI WYGRAĆ KOLEJNYCH WYBORÓW, MOŻE JEDNAK UTRZYMAĆ WŁADZĘ DZIĘKI ROZDROBNIENIU OPOZYCJI.

eprasa.pl e6696996e7

reformami czy aferami, na horyzoncie zawsze widać było sprecyzowaną alternatywę. Do 2005 roku, jeśli większość była rozczarowana rządami partii wywodzących się z obozu postsolidarnościowego, do władzy wracała postkomuna. Jeśli natomiast bankrutowała polityka Włodzimierza Cimoszewicza, Leszka Millera czy Marka Belki, było oczywiste, że władzę przejmą ludzie mniej lub bardziej związani z dziedzictwem Solidarności. Jak wiemy, stało się inaczej, ale system nadal opierał się na wyraźnej alternatywie. W 2007 roku było jasne, że jeśli ktoś ma dość rządów Jarosława Kaczyńskiego (a o to, by miał dość, zadbały już media), wybierze Platformę, a ta co najwyżej dobierze sobie jakiegoś koalicjanta. To samo – w drugą stronę – zadziałało 8 lat później, by ponownie oddać władzę skrzykniętej wokół Tuska koalicji po kolejnych dwóch kadencjach. Czy teraz widzą Państwo takiego oczywistego pretendenta? Zamiast jednego mocnego kandydata z ewentualnymi niemal oczywistymi koalicjantami mamy kilka partii, które nie sprawiają wrażenia, by mogły się dogadać w podstawowych sprawach. Żadna z nich nie może w tej chwili liczyć na na tyle mocną pozycję, by mieć naturalny dar przyciągania nowych partnerów lub wyciągania poszczególnych posłów w celu tworzenia większości. Część nawet nie wydaje się zainteresowana rządzeniem.

PiS podzielone

Ogłoszenie 7 marca Przemysława Czarnka kandydatem PiS na premiera miało uporządkować kwestię przywództwa przed wyborami 2027 i pomóc w odzyskaniu dominacji na prawicy, również poprzez mocniejsze akcentowanie tożsamościowych wątków w przekazie partyjnym. Niestety, wraz z nimi zaczął pojawiać się w niektórych wypowiedziach liberalizm gospodarczy, co doprowadziło do pojawienia się w debacie, również wewnątrzpartyjnej, określeń takich jak „trzy Konfederacje" czy wręcz „Konfederacja z Temu" (Temu to chińska platforma sprzedażowa). Coraz ostrzej też rysowały się podziały między połączonymi niechęcią do byłego premiera grupami „maślarzy" (m.in. Jacek Sasin i Tobiasz Bocheński) i dawnych polityków Suwerennej Polski a samym Morawieckim i jego otoczeniem. Po kilku spotkaniach i ultimatach doszło ostatecznie do pęknięcia i wyjścia 40 posłów, które tylko rozgrzało emocje. Politycy PiS notorycznie nazywają dawnych kolegów „zdrajcami" i „rozłamowcami", przy czym ciekawe jest, że osoby wywodzące się z Solidarnej Polski niemal jeden do jednego powtarzają retorykę, która kiedyś doprowadziła właśnie do odejścia ich grupy z PiS niedługo po katastrofie smoleńskiej. Sprawę zaogniło wybranie Marcina Horały z Rozwoju Plus na wakujące od początku kadencji stanowisko wicemarszałka Sejmu. PiS od początku kadencji odmawiało wskazania na tę funkcję innego kandydata niż odrzucana przez większość Elżbieta Witek. Dopiero gdy ich dawni koledzy uznali, że jako nowy, trzeci co do wielkości klub w Sejmie wystawią swojego kandydata, Prawo i Sprawiedliwość zdecydowało, że wejdzie do wyścigu. Początkowo wydawało się, że może być to szansa na uzyskanie większych wpływów w prezydium Sejmu dla całej prawicy, jednakże PiS nie było zainteresowane poparciem inicjatywy poszerzenia prezydium. Ostatecznie oba kluby nie poparły nawzajem swoich kandydatów, a atmosfera między dawnymi kolegami jeszcze się zaogniła. Wydaje się, że w atakach przoduje dziś PiS, choć i politykom Rozwoju Plus coraz częściej zdarza się powiedzieć kilka zdań za dużo. Nie tak dawno Tobiasz Bocheński posunął się do zanegowania tradycji i dziedzictwa Solidarności Walczącej, przedstawiając Kornela Morawieckiego jako rozbijacza jedności „S", a jego syna jako kontynuatora tej tradycji. Notoryczna krytyka Mateusza Morawieckiego jest jednak dla PiS ślepą uliczką: jeśli bowiem jest on tak zły, jak dziś się go maluje, jak można było uczynić go na tyle lat premierem i twarzą kilku kampanii wyborczych? To pytanie pozostaje bez satysfakcjonującej odpowiedzi. Dodajmy, że większość wyborców tej partii jest według badań zadowolona z wyboru Horały, przez lata przecież cenionego posła i propagatora budowy CPK. Niestety, podział między politykami przenosi się na nastroje sympatyków, a partie, zbyt daleko wchodząc

ZAMIAST JEDNEGO MOCNEGO PRETENDENTA MAMY PARTIE, KTÓRE NIE MOGĄ SIĘ DOGADAĆ W PODSTAWOWYCH SPRAWACH.

eprasa.pl e6696996e7

we wzajemny spór, pozbawiają się ewentualnych korzyści, które mógł i wciąż może przynieść obozu politycznemu dawnego „wielkiego PiS" ich rozwód. Sprawa wyboru wicemarszałka jest tego przykładem. Pełno jest oskarżeń, że obie strony dały się rozegrać Tuskowi i jego przybocznym, którzy chcieli poprzez taktyczne wsparcie Marcina Horały pogłębić podział między Morawieckim a Czarnkiem i Kaczyńskim. Wystarczyłoby jednak, gdyby najpierw PiS i Rozwój Plus głosowały solidarnie na swoich kandydatów, a następnie uznały wybór jednego z nich za dobrą wiadomość dla całej prawicy, by ta strategia spaliła na panewce. Sam Rozwój Plus wydaje się w tej chwili stać w miejscu. Choć sondaże dają mu od 3 do 7–8 proc., nie widać tu żadnego efektu nowości. Ruch Morawieckiego chwali się za to nabytkami w samorządach, tyle że często nie wydają się to zbyt udane transfery – w skali kraju nieznane, lokalnie znane… aż za dobrze. Nie widać też, by politycy Rozwoju Plus zmienili swoje nastawienie do relacji z Unią Europejską, których wcześniejsze, dość naiwne wydanie było największym wizerunkowym obciążeniem premiera.

Wieczne dzieciństwo

Niestety i w Konfederacji sprawy nie mają się najlepiej. Odkąd kilka tygodni temu partia zaliczyła spektakularną kompromitację w Krakowie, gdzie nie udało się zebrać podpisów dla jej kandydata w wyborach prezydenckich Bartosza Bocheńczaka, tłumione dotąd konflikty między narodowcami a Nową Nadzieją zaczęły wychodzić na światło dzienne. Konfederacja utrzymuje kilkunastoprocentowe poparcie, jednak jej rosnąca pozycja coraz częściej rodzi pytanie, czy ugrupowanie potrafi przejść od roli partii protestu do roli potencjalnego współrządzącego. Miłosz Lodowski w radiu Wnet za „komunikacyjną katastrofę" uznał wywiad Sławomira Mentzena, w którym lider Nowej Nadziei oceniał szanse dalszych rządów Donalda Tuska na 51 proc., a równocześnie mówił o likwidacji 13. i 14. emerytury oraz ograniczeniu 800+; zdaniem Lodowskiego polityk aspirujący do władzy w ten sposób wzmacnia przeciwnika i sam tworzy sobie problemy wizerunkowe. Podobnie Rafał Ziemkiewicz zarzuca Mentzenowi, że „nie dojrzewa jako polityk": jego zdaniem strategia: „Zagłosujcie na nas, ale nie oczekujcie, że będziemy rządzić", przyczyniła się już do słabego finału kampanii Konfederacji w 2023 r., a przy obecnym poparciu partia powinna przygotowywać kadry i scenariusze realnego udziału we władzy. Na pewne pogubienie partii i rozjechanie się z wyborcami wskazuje też jej zachowanie w sprawie ministra Macieja Berka. Politycy Konfederacji początkowo skłaniali się ku stanowisku, że prezydent powinien przyjąć jego ślubowanie jako sędziego TK mimo zastrzeżeń wobec samej kandydatury. Krzysztof Bosak mówił, że wymaga tego konstytucja, lecz tego samego dnia po rozmowach z Michałem Wawerem i Zbigniewem Boguckim złagodził stanowisko, uznając, że wątpliwości co do spełnienia formalnych wymogów mogą uzasadniać odmowę przyjęcia ślubowania, a więc pogubienie, brak chęci i zdolności koalicyjnych, a w perspektywie możliwy podział lub kłótnie frakcji. Sytuację Konfederacji Korony Polskiej w jedynym z poprzednich numerów „TS" opisywał Ludwik Pęzioł, ograniczmy się więc do przypomnienia, że do kontrowersji wokół poglądów dochodzą kwestie organizacyjne, w tym odsuwanie sprawdzonych w boju działaczy na rzecz osób mogących wnieść do partii pieniądze.

Na koniec obiecane dobre wiadomości: pojawiły się informacje, że dojdzie do jakiejś formy współpracy wszystkich ugrupowań prawicy w wyborach do Senatu. Finalizuje się też, jak się zdaje, kwestia przejęcia TVN, co może trochę rozszczelnić przekaz głównego, prorządowego nurtu. Oby tylko znalazł się ktoś, kto będzie umiał z tych szans skorzystać.

TOBIASZ BOCHEŃSKI POSUNĄŁ SIĘ DO ZANEGOWANIA TRADYCJI I DZIEDZICTWA SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ.

LIDER NOWEJ NADZIEI OCENIA SZANSE DALSZYCH RZĄDÓW DONALDA TUSKA NA 51 PROC.

eprasa.pl e6696996e7

Powrót normalności: machina wojenna jako MOTOR ROZWOJU

Szczepan Ruman

Historia świata to historia imperiów, podbojów i wojen. Od kilku dekad badacze fascynują się jednak nowym zjawiskiem: wojny stały się rzeczywistością o znacznie mniejszym znaczeniu. Innowacje w świecie Zachodu rodziły się w sektorze cywilnym i dopiero z niego wędrowały do wojskowości, inaczej niż było to w wielu znanych nam okresach z przeszłości. Ten czas się skończył. Paradoksalnie gwoździem do trumny stało się udostępnienie przez Open AI nowego modelu ChatGPT-6 Astra. Pomimo znaczącego podniesienia cen popyt na niego był tak duży, że już po kilku dniach Open AI musiał zablokować możliwość zakupu planu taryfowego z największą ilością tokenów (Pro 20x). Ten problem ma jednak dwa wymiary. Pierwszy jest strukturalny: możliwości AI rozwijają się znacznie szybciej niż moce obliczeniowe i dostępna energia do zasilania centrów danych. Do dalszego powszechnego rozwoju AI na Zachodzie zwyczajnie brakuje energii. „Szczęśliwie" Open AI ma jednak jeszcze zawartą umowę z Pentagonem. I tu dochodzimy do drugiego

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl ec695996e7

wymiaru: bezpieczeństwa – możliwości AI stały się tak duże, że państwa, z których pochodzą modele, chcą ich kluczowe zalety zatrzymać dla siebie. Również dlatego dostępność ChatGPT-6 Astra ma być ograniczona poza USA. Dynamika rozwoju nie zostanie więc wstrzymana ani nawet spowolniona – to przecież wyścig z Chinami, a USA nie zamierzają go przegrać. Po prostu najnowocześniejsze modele będą udostępniane tylko w wojsku i tylko w krajach, z których modele pochodzą.

Potencjalnie moment ten mógł nastąpić trochę później. Jednak zabójcza ideologia zielonej transformacji sprawiła, że niedobory energii elektrycznej i mocy produkcyjnych przemysłu ujawniły się bardzo szybko. Chińczycy dawno już zidentyfikowali kluczowy czynnik słabości gospodarki Zachodu – kapitalistyczną „chciwość". Pierwszym sposobem wykorzystania tej słabości przeciw Zachodowi było przenoszenie całej produkcji i przemysłu do „tańszych" Chin. Na tym polegał „kapitalizm finansowy" USA, którego drugim biegunem był „kapitalizm produkcyjny" Chin. Krótkowzroczność modelu „offshoring" została już dostrzeżona i opisana, a Zachód zarządził pełen odwrót w kierunku „near shoring" i „friend shoring". Jednak na Zachodzie w międzyczasie rozplenił się model 2.0 – znacznie bardziej zaawansowanego wykorzystywania kapitalistycznej chciwości. Była nim „zielona transformacja". Fundusze inwestycyjne zaczęły osiągać niebotyczne zwroty na wysokich cenach energii, uprawnieniach do emisji CO_2 i całym modelu subsydiów i preferencji dla „zeroemisyjnych źródeł energii". Pod tym płaszczykiem krył się realny zarobek Chin – za dostawę komponentów do OZE – i Rosji – na dostawach gazu – oraz dalsza deindustrializacja Europy i USA wywołana wysokimi cenami energii – tego już jednak menedżerowie funduszy nie dostrzegali. Po prostu na węglu czy przemyśle zarabiało się słabo, za to na OZE, przenoszeniu produkcji do Chin i uprawnieniach CO_2 wspaniale – więc inwestowali w to, co generowało zwroty. Model ten tak się zakorzenił w lobbingu, regulacjach i propagandzie, że wydawało się, że jego kres nie nadejdzie już nigdy. Któż chciałby bronić „brudnej" fabryki czy huty, kiedy można ten „brud" wyeksportować do Chin, a samemu cieszyć się z zarobku na uprawnieniach do emisji CO_2? I wtedy przyszedł czas na AI.

Sygnał do zwrotu przez rufę jako pierwszy dał Bill Gates: „Zrobiliśmy już dla klimatu wystarczająco, teraz trzeba zadbać o dobrobyt ludzi". Przyczyna była oczywista: nagle okazało się, że potężnych ilości energii potrzebują nie brudne, wsteczne huty i fabryki, tylko czyste i przyszłościowe centra danych AI. Dopóki nabijanie zysków funduszom inwestycyjnym wymagało jedynie kuriozalnego tłumaczenia ludności, że ma się cofnąć do czasów przedindustrialnych: zacząć na powrót dostosowywać swój rytm życia do światła słonecznego i wiatru, włączać pralkę czy ładować samochód wtedy, kiedy akurat jest energia z OZE, a nie wtedy, kiedy jest to po prostu potrzebne – dopóty wszyscy dalej w to brnęli. Cóż znaczy wygoda obywateli wobec zysków potężnych i wpływowych właścicieli kapitału? Jednak kiedy okazało się, że energii dostępnej 24 godziny na dobę 365 dni w roku potrzebują nie zwykli ludzie, tylko sztuczna inteligencja, padła komenda: „Zawracać!". Przecież centrum danych nie może funkcjonować wtedy, kiedy akurat świeci czy wieje. Człowiek może, a nawet powinien śledzić, czy zawiało wystarczająco mocno, aby mógł tanio naładować swoje auto, ale AI ma mieć energię dostępną cały czas, czyli tak, jak było to przed nastaniem szaleństwa OZE: ze sterowalnych elektrowni konwencjonalnych na paliwa kopalne. I chociaż globalne emisje CO_2 nadal stabilnie i dynamicznie rosną – ogłosić należy, że zagrożenie minęło. Później się do tego dorobi jakąś teorię. Sfinansuje się linię narracyjną, która wytłumaczy ludności „nowe odkrycia nauki". Tymczasem trzeba zwiększać produkcję energii na wszelki możliwy sposób.

Czas pokaże, czy komenda zawrócenia potężnego okrętu naszej cywilizacji wydana została w ostatniej chwili, czy jednak za późno – już po uderzeniu w górę lodową, a obecnie trwa jeszcze jedynie bal, jak na Titanicu. Rak zielonej transformacji został zdiagnozowany, nie wiemy tylko na razie, czy ciężka operacja i chemioterapia jeszcze nas uratują, czy to już jednak faza terminalna. Węzłowy problem jest prosty: o dominacji na nadchodzące dekady zdecyduje wyścig w technologiach AI. Donald Trump zapytany niedawno, czy USA zamierzają spowolnić

ZA ROZWOJEM MODELI AI, KTÓRE SĄ „SOFTWARE", NADĄŻYĆ MUSI „HARDWARE", W TYM PRZYPADKU ZAINSTALOWANE MOCE OBLICZENIOWE I MOCE ELEKTROWNI JE ZASILAJĄCYCH.

eprasa.pl e6696996e7

rozwój AI ze względów rzekomych zagrożeń dla bezpieczeństwa ludzkości, odpowiedział, że nie, ponieważ obecnie USA wyprzedzają Chiny (nieznacznie) i on nie zamierza tego zmieniać, bo kto wygra ten wyścig – wygra wszystko.

Pełna racja, jest jednak jeden problem: za rozwojem modeli AI, które są „software", nadążyć musi „hardware", w tym przypadku zainstalowane moce obliczeniowe i moce elektrowni je zasilających. A pod tym względem porównanie USA i Chin wypada niejednoznacznie. Chiny złapały Zachód „na wykroku": podczas gdy u nich do systemu dodawane są setki gigawatów mocy wszelkiego rodzaju rocznie – na Zachodzie prawie nie ma nowych projektów energetycznych znacząco zwiększających podaż energii. Dlatego też USA blokują Chinom dostęp do najnowocześniejszych chipów. W ten sposób chcą spowolnić rozwój AI w Chinach przez kilka lat potrzebnych do zbudowania nowych elektrowni zasilających AI w USA. O Europie nie wspominam, bo nasz zdeindustrializowany kontynent został gospodarczo zmiażdżony przez regulacje powodowane zieloną ideologią i w tym wyścigu w ogóle nie bierzemy już udziału.

Tu dochodzimy do drugiego wymiaru. Zgodnie z wypowiedzią Donalda Trumpa wyścig w sektorze AI rozstrzygnie o dalszej globalnej dominacji konkretnego państwa. Tak, państwa, a nie ponadnarodowego bloku. Zdolności AI mają swój wymiar dominacji ekonomicznej – skokowego zwiększenia efektywności gospodarki – oraz wymiar dominacji wojskowej – broń oparta na AI rozstrzygnie o geopolitycznej przewadze na kolejne lata, a być może tak jak broń jądrowa – na dekady. Żadnego z tych wymiarów – ani dominacji ekonomicznej, ani tym bardziej wojskowej żadne państwo nie udostępni w pełni swoim sojusznikom. Państwa Europy oddały tę bitwę walkowerem. Jesteśmy zajęci „transformacją" i nieustannym podwyższaniem cen energii, a w nowoczesność nie inwestujemy. To przykre, bo doprowadzi do skrajnej marginalizacji Europy na arenie globalnej w nadchodzących dekadach.

AI STAJE SIĘ KLUCZOWĄ BRONIĄ NOWOCZESNYCH KONFLIKTÓW, KTÓRA MOŻE ZASTĄPIĆ BROŃ JĄDROWĄ W SYSTEMIE GLOBALNEJ DOMINACJI.

Warto jednak dodać kilka słów o AI jako broni. Z dużym prawdopodobieństwem okaże się, że to właśnie AI będzie tym, co zakończy erę dominacji broni jądrowej. Zajmują się tym w USA firmy takie jak Palantir, Anduril (symboliczna inspiracja twórczością J.R.R. Tolkiena), lecz także samo Open AI. Po imponującym z punktu widzenia wojskowego początku wojny USA z Iranem rozmawiałem o tym z prof. Wojciechem Myśleckim w ramach Debat Strategicznych organizowanych na portalu Literacki.com.pl. W kontekście zakończonej operacji w Wenezueli, rozpoczętej rozprawy z Iranem i wiszącej na włosku Kuby – zapytałem, jak ocenia możliwość militarnej konfrontacji USA z Koreą Północną. Taka konfrontacja byłaby koniecznym ostatnim krokiem przed ewentualnym militarnym starciem USA – Chiny w przyszłości. Prof. Myślecki odpowiedział, że do takiej konfrontacji mogłoby dojść, tylko jeśli USA miałyby nowy rodzaj broni, zdolny do unieszkodliwienia całego arsenału jądrowego Korei Północnej w jednej chwili.

To bardzo słuszne podejście do tematu: nikt nie może sobie pozwolić na zagrożenie, że choćby jedna głowica jądrowa sięgnie jego kraju. Zniszczenia byłyby zbyt dewastujące. Dlatego właśnie broń jądrowa przyniosła okres bez wojen światowych, który trwa już ponad 80 lat. Ostatnie konflikty pokazują dobitnie, że „tarcze antyrakietowe" nie dadzą nikomu pewności zabezpieczenia przed bronią jądrową przeciwnika, bo systemy te są i pozostaną zbyt dziurawe. Technologie obrony przeciwlotniczej nie przyniosą zatem przełomu w sztuce wojny. Wojsko upatruje przełomu w broni ofensywnej: w ramach operacji w Iranie USA osiągało zdolność atakowania nawet 1000 konkretnych celów na dobę. Było to możliwe właśnie dzięki wsparciu AI. Te zdolności ofensywne oparte na AI połączone z odpowiednią ilością głowic, w tym tych do niszczenia bunkrów i podziemnych umocnień – mogą w przyszłości dać komuś przekonanie o możliwości pełnego unieszkodliwienia arsenału przeciwnika w jednym uderzeniu, czyli tego, o czym wspominał prof. Myślecki.

AI staje się kluczową bronią nowoczesnych konfliktów, która może zastąpić broń jądrową w systemie globalnej dominacji. Okres powszechnej popularyzacji AI się zakończył. Wiodący rozwój tej technologii będzie odbywał się w sektorach zbrojeniowych, a państwa będą zatrzymywać technologię dla siebie. W wyścigu tym jako Europa – ani jako Polska – nie bierzemy udziału. Oznacza to, że będziemy nie tylko zacofani gospodarczo, ale też bezbronni.

eprasa.pl e6696996e7

Piotr Skwieciński

Berlin, czyli ilość przechodzi w jakość

Być może to nie sukcesy altprawicy będą, z perspektywy czasu, uznane za najważniejszy efekt wyborów przetaczających się przez wschodnie landy Niemiec. Być może za znacznie ważniejsze – a na pewno nie przejściowe – będzie uznane to, co stało się w Berlinie. Gdzie przebojem sezonu stała się komunizująca Die Linke. Dlaczego?

Oczywiście dlatego, że skorzystała na obniżeniu wieku wyborczego do 16 lat (skądinąd dokonali tego Zieloni przekonani, że to oni dostaną głosy wdzięcznej młodzieży – przeliczyli się i ku własnemu zaskoczeniu okazali partią starców, a nie dzieciaków...). Ale przede wszystkim dlatego, że wybory ujawniły, iż pewien proces, postępujący od dawna, ale podskórnie, osiągnął stopień, w którym zgodnie z engelsowskim prawem dialektyki zmiana ilościowa przechodzi w jakościową.

Chodzi o proces podmiany elektoratu. O to, że zwycięstwo Die Linke nastąpiło na skutek masowego poparcia tej partii przez nowych obywateli Bundesrepubliki – tych, którzy jej obywatelstwo nabyli nie przez urodzenie, tylko otrzymali w ostatnich latach. Przez bliskowschodnich i afrykańskich imigrantów.

Proces ten trwa od połowy zeszłej dekady, gdy Angela Merkel zaprosiła do Niemiec masę kolorowych (w ogromnej większości muzułmańskich) uchodźców i „uchodźców". A w Niemczech legalnie przebywający w kraju przybysz nabywa obywatelstwo już po kilku latach. Powstrzymać to może wyłącznie niezdanie egzaminu z kultury niemieckiej – ale system nie jest nastawiony na rzucanie kłód pod nogi szukającym lepszego życia i wolności...

Proces idzie niepowstrzymanie. Co roku paszporty – i prawo głosu – zyskuje około 300 tysięcy migrantów. W 2025 r. na ponad 333 tysięcy nadań obywatelstwa RFN z Afryki i Azji pochodziło 165 tysięcy. Przy czym Turcję zalicza się w niemieckich statystkach do Europy; gdyby zaliczyć ją do Azji, to byłoby prawie 200 tysięcy nowych obywateli z Afryki i Azji. Powtórzmy – w samym roku 2025.

A ci przybysze, więc i nowi obywatele, koncentrują się w największych metropoliach, czyli przede wszystkim w Berlinie. Tam więc głosują.

I tam przeważyli. Głosując na tych, którzy obiecują im najdalej idącą akceptację i nienarzucanie miejscowej kultury, którzy są najbardziej skonfliktowani z tymi, którym proces dominowania rdzennej ludności przez przybyszy się nie podoba (czyli z AfD), i którzy gwarantują uprawianie polityki nienawiści wobec tych, których nienawidzą nowi obywatele – czyli wobec Żydów i Izraela.

Z tym samym zjawiskiem mieliśmy do czynienia w czasie wyborów w Szwecji. Lewica odzyskała tam władzę właśnie dzięki nowym obywatelom. Przy czym na listach kandydatów lewicy powtarzało się ciekawe zjawisko – oto Afrykańczyk z dalekiego miejsca przeskakiwał pierwszego na liście, czyli białego Szweda.

Signum temporis.

Istnieje, jak wiemy, teoria Wielkiej Podmiany, która mówi, że rdzenna ludność białych krajów miałaby zostać zastąpiona przez kolorowych migrantów. Przy czym miałoby to być działaniem celowym, kierowanym przez tajny globalny ośrodek władzy łaknący.... W zasadzie nie do końca wiadomo, czego? Rewolucji kulturowej? Zagłady chrześcijaństwa? W tej wersji Teoria Wielkiej Podmiany jest oczywiście absurdalna.

Ale zarazem jest oczywiste, że zwiększanie, z wyborów na wybory, odsetka nowych obywateli z wszystkich możliwych względów skłonnych do głosowania na lewicę leży w jej interesie. A politycy klasycznej prawicy, kulturowo sterroryzowani, nie są w stanie przeciwstawić się skutecznie temu procesowi.

Efekt może być nieciekawy, bo rdzenna ludność, mimo wszystko, nie jest do końca owładnięta instynktem samobójczym. Kontynent może więc pogrążyć się w fale pogromowe.

A wtedy ci, którzy przez dekady decydowali o radosnej akceptacji wzbogacającej imigracji, powiedzą...

Nie, nie jestem w stanie wyobrazić sobie, co powiedzą.

eprasa.pl e6696996e7

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO

Warszawa po wyginięciu romantyków

Zdzisław Krasnodębski

Nieszczęśliwie zakochanych mamy w literaturze i w kulturze w ogóle bez liku. Bez miłości, także – a może przede wszystkim – bez miłości nieszczęśliwej, nie byłoby wielu wspaniałych dzieł. Także „Lalka" to powieść o nieszczęśliwej miłości. Stanisław Wokulski jest jedną z najbardziej żałosnych postaci w polskiej literaturze. Jego egzaltacja miłosna jest śmieszna i denerwująca. I wcale nie tylko dlatego jesteśmy mało wyrozumiali dla jego miłosnych uniesień, że w przeciwieństwie do Wertera nie jest młody. Ma lat 46, co w tamtych czasach oznaczało niemal próg starości, a Izabela jest o 20 lat młodsza. No cóż, zdarza się. Przecież autor „Wertera" zakochał się w 19-letniej Ulrike von Levetzow i poprosił ją o rękę w wieku lat 72. Dzięki temu, że go – oczywiście – odtrąciła, mamy „Elegię marienbadzką".

Przyczyny nieszczęścia w miłości bywają różne. Według Bolesława Prusa główną przyczyną udręki Wokulskiego są bariery i przesądy stanowe (skądinąd wówczas już upadające, o czym świadczy choćby postać baronowej Krzeszowskiej), a także ogólna atmosfera i sytuacja ówczesnej Warszawy, co sprawia, że „Lalka" nie jest tylko dramatem miłosnym, lecz także społecznym – gorzką analizą ówczesnego polskiego społeczeństwa, które Wokulskiego więzi i upokarza, nie pozwala rozwinąć się jego talentom. Warszawa go dusi – w przeciwieństwie do Syberii, Moskwy i Paryża. Wokulski jest przekonany, że w Paryżu nie tylko rozwinąłby swoje talenty naukowe, nie tylko stałby się bogaczem, nie tylko zyskałby prestiż społeczny, ale i miłość każdej kobiety, o którą zechciałby się ubiegać. Izabela powinna więc była nagrodzić niespełnionego geniusza nie tylko małżeństwem, ale miłością i nieskazitelną cnotą.

WOKULSKI PONOSI KLĘSKĘ ŻYCIOWĄ, BO MIMO SYGNAŁÓW OSTRZEGAWCZYCH NIE POTRAFI UWOLNIĆ SIĘ OD ROMANTYCZNEJ OBSESJI.

„Lalka" była także w zamierzeniu autora dziełem krytycznym wobec romantyzmu, ma więc znaczenie ogólniejsze, wykraczające poza utyskiwanie na polskie społeczeństwo, na indolencję jego warstw wyższych i wykazywanie, jak rozsądne byłoby handlowanie z Rosją, a jak niedorzeczne są powstania narodowe. Wokulski cierpi nie tylko z powodu dyskryminacyjnych przesądów społecznych. Z nimi sobie ostatecznie poradził. Przecież w zasadzie osiąga swój cel – zaręcza się z Izabelą, tworzy spółkę z ówczesną socjetą, zyskuje uznanie i pozycję towarzyską itd. Ale – jak pokazuje Prus – musi walczyć przede wszystkim z wrogiem wewnętrznym, z wbitą mu do głowy przez romantyzm idealizacją miłości i kobiety. Cały

eprasa.pl e6696996e7

czas irytująco zmaga się ze sobą, oscylując między idealizującym romantyzmem a biologizującym cynizmem, przechodząc z jednej skrajności w drugą. W chwilach rozczarowań uznaje się za głupca: „Głupie życie!... Po ziemi gonimy marę, którą każdy nosi we własnym sercu, i dopiero gdy stamtąd ucieknie, poznajemy, że to był obłęd...?". W Paryżu rzuca tomem poezji Mickiewicza: „«Zmarnowaliście życie moje... Zatruliście dwa pokolenia!... – szepnął. – Oto skutki waszych sentymentalnych poglądów na miłość». – Złożył książkę i cisnął nią w kąt pokoju, aż rozleciały się kartki. Książka odbiła się od ściany, spadła na umywalnię i ze smutnym szelestem stoczyła się na podłogę".

Ponosi klęskę życiową, bo mimo sygnałów ostrzegawczych nie potrafi uwolnić się od romantycznej obsesji. Załamany z powodu igraszek Izabeli i Starskiego z medalionem dochodzi do wniosku, że: „Trzeba było poznawać kobiety nie przez okulary Mickiewiczów, Krasińskich albo Słowackich, ale ze statystyki, która uczy, że każdy biały anioł jest w dziesiątej części prostytutką; no i jeżeli spotkałoby cię rozczarowanie, to choć przyjemne". Rozgoryczony uznaje się za ofiarę: „Świat niekiedy zyskuje, jeżeli jakiś naiwny prostak wpada w obłęd zwany miłością idealną i za cenę największych niebezpieczeństw zdobywa majątek, aby go złożyć u stóp swego ideału... Ale świat czasem traci, jeżeli ten wariat, odkrywszy mistyfikację, upada złamany, do niczego niezdolny... Świat traci, jedno zabite szczęście, jeden zwichnięty umysł, a może i człowieka, który mógł coś zrobić...". Tym gorzej więc dla świata.

Komentator i analityk perypetii miłosnych Wokulskiego, mizogin dr Szuman, o którym Rzecki sądzi, iż ma on „rozum tego gatunku, że łatwiej mu sto rzeczy wyśmiać i zepsuć, aniżeli jedną zbudować", sądzi, że wreszcie zaczyna patrzeć na miłość realistycznie, jako zjawisko naturalne. Ta naturalność została zniszczona w naszej cywilizacji zachodniej. „Miłość – tłumaczył Szuman Rzeckiemu – jest rzeczą zwyczajną wobec natury, a nawet, jeżeli chcesz, wobec Boga. Ale wasza głupia cywilizacja, oparta na poglądach rzymskich, dawno już zmarłych i pogrzebanych, na interesach papiestwa, na trubadurach, ascetyzmie, kastowości i tym podobnych bredniach, z naturalnego uczucia zrobiła... wiesz co?... Zrobiła nerwową chorobę!... Wasza niby to miłość rycersko-kościelno-romantyczna jest naprawdę obrzydliwym handlem opartym na oszustwie, które bardzo słusznie karze się dożywotnimi galerami, zwanymi małżeństwem".

Wyzwolony z ideału romantycznej miłości Wokulski dochodzi do pancynizmu: „jeżeli cały świat składa się z bydląt, to nie ma dobrej racji ani szaleć za jednym z nich, ani gniewać się za to, że jest zwierzęciem, nie lepszym i zapewne nie gorszym od innych... Ideały – to malowane żłoby, w których jest malowana trawa, niezdolna nikogo nasycić!... Więc co się poświęcać dla jednych albo uganiać za drugimi?... Po prostu trzeba się wyleczyć, a potem na odmianę jadać polędwicę albo ładne kobiety i popijać to dobrym winem".

POLSKA JAK ZBIOROWY WOKULSKI PRZESZŁA Z FAZY IDEALIZMU DO CZASÓW CYNIZMU.

Nie ma w „Lalce" zwycięstwa obowiązku nad uczuciem i namiętnością, interesu nad miłością, jak choćby w „Buddenbrookach", gdzie i Tonia i Tom podporządkowują – daremnie – swoje uczucia interesom rodzinnego przedsiębiorstwa, czy jak w „Cierpieniach młodego Wertera", gdzie Charlotta, która – jak przekonywająco pokazał w swym eseju o tym dziele Thomas Mann – kochała Wertera, ale odpowiedzialność i przyzwoitość sprawiły, że ani romans, ani małżeństwo z nim nawet przez chwilę nie wchodziły w grę. Nie ma też w „Lalce" przebaczenia. „Za jeden błąd, zresztą niewinny, poniewierasz pan niegdyś ukochaną kobietę?" – pyta Wokulskiego pani Wąsowska, którą zaczyna się interesować zaraz po tym, gdy Izabela strasznie go rozczarowała. A przecież na tle wielu postaci kobiecych – licznych szczególnie w literaturze francuskiej, jak np. Manon Lescaut, Emma Bovary, pani de Rênal czy nawet Madame Arnoux, nie mówiąc już o Albertynie Simonet – Izabela ze swym feblikiem do Starskiego, z dziewczęcymi fantazjami erotycznymi, fascynacją włoskim aktorem czy skrzypkiem, uprawiająca flirt jak zabawę towarzyską, jaśnieje cnotą. Na plus należy jej zapisać, że nie chciała być kupiona, że „gardziła Wokulskim, serce jej zamierało na samo przypuszczenie,

eprasa.pl e6696996e7

że ten człowiek mógł zapłacić za srebra więcej, niż były warte". Gdy Wokulski zachowuje się zgodnie z wzorem romantycznego kochanka, gdy pokazuje swą silną osobowość, wzbudza jej głębsze uczucia. Izabela przeżywa bardzo zerwanie, czuje się winna, bo wbrew autorowi, który ją powołał do życia, nie jest lalką bez sumienia; w końcu wstępuje do klasztoru; jego zaś losy nie do końca są znane – albo popełnia samobójstwo, albo udaje się w pogoń za inną – naukową – mrzonką, którą Prus uważał za racjonalną.

Jak przewidywał dr Szuman: „Romantycy muszą wyginąć, to darmo; dzisiejszy świat nie dla nich... Powszechna jawność sprawia to, że już nie wierzymy ani w anielskość kobiet, ani w możliwość ideałów. Kto tego nie rozumie, musi zginąć albo dobrowolnie sam ustąpić". Od tego czasu jawność jeszcze się zwiększyła dzięki rozwojowi mediów i technice komunikacji i obserwacji. Nie tylko wiara w „anielskość kobiety" zanikła, wszystkie ideały to „malowane żłoby". Nasza cywilizacja nie ma, jak się nas przekonuje, być nadal „głupio" oparta na – powtórzmy – „poglądach rzymskich, dawno już zmarłych i pogrzebanych, na interesach papiestwa, na trubadurach, ascetyzmie, kastowości" – dokonało się wyzwolenie, każde pożądanie jest naturalne, wszyscy są równi.

Polska jak zbiorowy Wokulski przeszła z fazy idealizmu (starsi z nas pamiętają jeszcze opozycję demokratyczną, bohaterów podziemia i autorytety moralne) do czasów cynizmu, tak adekwatnie, choć mimowolnie, zobrazowanego w serialu Netflixa, nawiązującego do „Lalki" Prusa nazwiskami bohaterów. Ten sprawnie nakręcony, przyrządzony według obowiązującej ideologii, produkt pokazuje nie Warszawę lat 1878–1879, nie Warszawę wyobrażoną przez Prusa, lecz współczesną, przebraną w historyczne kostiumy. Odbija się w nim światopogląd i sposób życia współczesnych polskich elit, tych z Pałacyku Sobańskich i tych ze SPATiF-u, nie mniej zależnych w swoim dobrobycie od zagranicznych dobroczyńców i przyjaciół jak Wokulski od Suzina. Izabela Łęcka jest w nim agresywną, wulgarną harpią, wspierającą towarzyszki skupione w walce o wyzwolenie kobiet wokół przemawiającej jak Wanda Wasilewska Elizy Orzeszkowej, Wokulski okazuje się typem perwersyjnego stalkera, pijusa, karierowicza, Tomasz Łęcki – menelem itd. Kobiety i mężczyźni są w tym serialu siebie godni w swym chamstwie, łajdactwie, wulgaryzmach. Walka interesów jest bezwzględna, a równość ma być cywilizacyjnym i kulturowym równaniem w dół. To, że od czasu do czasu zamożni w ramach czegoś w rodzaju świątecznej pomocy zobowiązani są „pochylić się" nad ludem, a uczucia niemalże miłosne czasami przebijają się przez potok wyzwisk, nie czyni tego wizerunku mniej odpychającym.

W SERIALU NETFLIXA ODBIJA SIĘ ŚWIATOPOGLĄD I SPOSÓB ŻYCIA WSPÓŁCZESNYCH POLSKICH ELIT, TYCH Z PAŁACYKU SOBAŃSKICH I TYCH ZE SPATIF-u.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ WASIUKIEWICZ

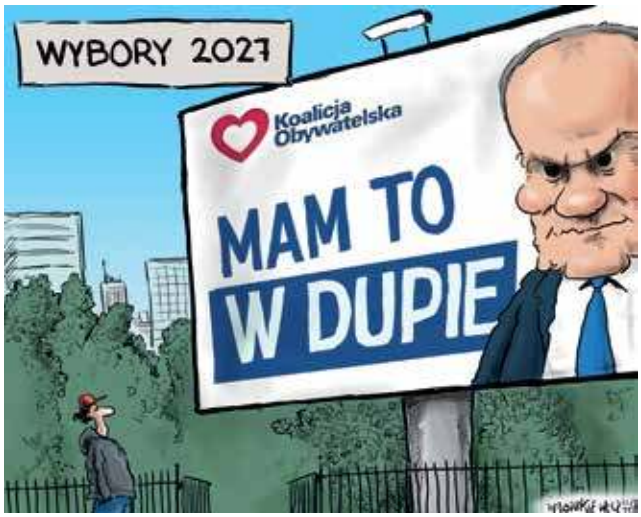

eprasa.pl e6696996e7

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Basia: – Dziś zdjęcie wykonane na oko we wczesnych latach 2000.

Tomek: – Tak, dokładnie zrobiłem je w maju 2010 roku. Przedstawia Kornela Morawieckiego w towarzystwie Marka Koźbiała i Jerzego Bogumiła. W kadr załapał się też nieżyjący już – podobnie jak Kornel Morawiecki – Krzysztof Wolf. Razem z Edwardem Mizikowskim w latach 80. przeprowadzili głośną akcję odbicia ze szpitala Jana Narożniaka.

– No dobrze, ale dlaczego dziś akurat wybrał Pan takie zdjęcie?

– Wszyscy, którzy znaleźli się na zdjęciu, to mocni zawodnicy udzielający się w latach 80. w podziemiu. Mają niejedną akcję za sobą, a zawsze działali w służbie Polsce. To powinni zrozumieć ci, których dziś interesują bardziej partyjne niesnaski niż działanie we wspólnym celu, bo przypominając sobie o ich dokonaniach, można zrozumieć, co jest ważne.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl e6696996e7

RUMUNIA.

Wieczny kryzys polityczny

Dobrze pamiętamy, jak niespełna dwa lata temu pierwsza tura wyborów prezydenckich w Rumunii została unieważniona. Od tego czasu odbyły się wybory parlamentarne oraz prezydenckie, w których ostatecznie, głosami Rumunów z Mołdawii i siedmiogrodzkich Węgrów, zwyciężył były burmistrz Bukaresztu Nicușor Dan. **Kryzys polityczny jednak trwa w najlepsze**. Ostatnio kraj pogrąża się w protestach.

Hanna Szymerska

Zgromadzenie przed siedzibą rumuńskiego Trybunału Konstytucyjnego w Bukareszcie. Podtrzymał on decyzję Centralnego Biura Wyborczego o unieważnieniu kandydatury Călina Georgescu w wyborach prezydenckich zaplanowanych na maj; 11 marca 2025 r.

Fot. Cristian Cristel / Xinhua News Agency / Forum

eprasa.pl e6696996e7

Jesień ludów przebiegła stosunkowo bezkrwawo w większości państw bloku wschodniego. Po cichu umarł komunizm w Bułgarii, Polska już w czerwcu 1989 roku przeprowadziła pierwsze częściowo wolne wybory, na Węgrzech obradował trójkątny stół. Rumunia na tle innych państw wyróżniła się za sprawą tzw. rewolucji grudniowej, która w tym samym roku przyniosła kres dyktaturze Nicolae Ceaușescu, kiedy to prezydent wraz z małżonką Eleną zostali rozstrzelani. Sam Ceaușescu nie był również typowym przedstawicielem rządzących w bloku wschodnim. Z jednej strony jego polityka zagraniczna była dosyć suwerenna; Rumuni nie brali udziału w tłumieniu Praskiej Wiosny i dogadywali się z Izraelem. Jednocześnie w kraju panował terror utrzymywany przy pomocy tajnej policji Securitate. Sam Ceaușescu z małżonką rozwinęli wokół siebie kult jednostki: Nicolae był tytułowany Słońcem i Geniuszem Karpat, Elena z kolei uważała się za wybitną chemiczkę pretendującą do Nagrody Nobla – chociaż nigdy nie ukończyła edukacji podstawowej. Warunki bytowe w Rumunii nie były dobre; pomimo gwarancji zatrudnienia i względnej dostępności samochodów Dacia Rumuni mieli ściśle reglamentowane normy żywnościowe, a zimą w budynkach mieszkalnych wolno było ogrzewać lokale do 12 stopni Celsjusza. Oczywiście zasady te nie dotyczyły wierchuszki partyjnej. Pod koniec 1989 roku Rumuni mieli dosyć. Bezpośrednim zapalnikiem wybuchu protestów było zatrzymanie węgierskiego pastora (chociaż należy zaznaczyć, że już wcześniej atmosfera gęstniała – choćby za sprawą planów wyburzenia części Bukaresztu czy wysiedleń na wsiach). Po obaleniu dyktatora władzę przejęli... postkomuniści. Na czele sprawującego władzę w Rumunii w pierwszych tygodniach po obaleniu Ceaușescu Frontu Ocalenia Narodowego staje Ion Iliescu, wieloletni działacz komunistyczny i były minister do spraw młodzieży. W atmosferze niepewności i zamieszek doczekuje fotela prezydenckiego. Rządzi w latach 1990–1996. Oczywiście większość komunistów i postkomunistów nie zostaje rozliczona. Część z nich odnalazła się nie tylko na wolnym rynku, lecz również w polityce. Była partia komunistyczna po kilku zmianach nazwy staje się partią socjaldemokratyczną. Jej przeciwnikiem numero uno jest Partia Narodowo-Liberalna, czyli samozwańczy chrześcijańscy demokraci czerpiący z tradycji międzywojennej partii o tej samej nazwie. Ich duopol będzie trwał do 2025 roku – ponad trzy i pół dekady.

Trzecie pokolenie Securitate przegrywa z TikTokiem

Wybory w Rumunii w 2025 roku nie wydają się zbyt pasjonujące. Ówczesnym prezydentem jest Klaus Iohannis, potomek Sasów Siedmiogrodzkich – niemieckich osadników, którzy przybyli na tereny Rumunii parę wieków wcześniej. Kończy swoją drugą kadencję z wynikiem zaufania... takim, że więcej obywateli Rumunii ufało Donaldowi Trumpowi i Viktorowi Orbánowi (chociaż na ten wynik akurat mogli mieć wpływ Węgrzy). Zarówno Partia Narodowo-Liberalna, jak i socjaldemokraci są umoczeni w skandalach, zwłaszcza na tle korupcyjnym i finansowym. Partie choć w teorii się zwalczają, są w stanie nawet współrządzić, a w zasadzie wymieniają się władzą, np. w 2024 roku mandaty poselskie uzyskało 86 socjaldemokratów (w poprzednich wyborach 110) oraz 50 narodowych liberałów (wcześniej 93 mandaty). Tym razem ma być podobnie. Nikt nie spodziewa się, że wybory prezydenckie wygra kandydat nierzadko nieuwzględniany w sondażach Călin Georgescu. Kim jest ów zwycięzca? Ekscentrykiem, ojcem wielodzietnej rodziny, osobowością medialną, krasomówcą z tytułem naukowym. Nie jest za to politykiem ani uczestnikiem żadnej afery korupcyjnej czy obyczajowej. Jego poglądy w zasadzie trudno zdefiniować. Był przeciwnikiem obostrzeń w związku z koronawirusem, krytykiem systemu, lubi przywoływać rumuńskie ruchy radykalne z I połowy XX wieku, o których wielu Rumunów nie ma zwyczajnie pojęcia – najczęściej wyszukiwanym hasłem po wygranej Georgescu był Legion Michała Archanioła, nacjonalistyczna organizacja w międzywojennej Rumunii, o której wyborcy chcieli się dowiedzieć czegoś więcej. Żona kandydata zasłynęła z teorii o zbawiennym wpływie noszenia spódnic przez kobiety. Nie to jest jednak istotne. Istotne jest, że Georgescu był spoza systemu i unikał odwołań do realiów duopolu. Żadnego młodego w Rumunii nie obchodziło już,

ŻADNEGO MŁODEGO W RUMUNII NIE OBCHODZIŁO JUŻ, CZYJ DZIADEK BYŁ W SECURITATE ANI TO, ŻE ICH OJCOWIE KRZYCZELI, ŻE LEPIEJ BYĆ GOLANEM NIŻ KOMUNISTĄ.

eprasa.pl e6696996e7

czyj dziadek był w Securitate ani to, że ich ojcowie krzyczeli, że lepiej być Golanem (rumuńskie określenie lekko chuligańskiego demonstranta z okresu zmian ustrojowych) niż komunistą. Georgescu mówił o problemach przeciętnego Rumuna, o wyprzedaniu narodowej gospodarki, o konieczności zadbania o interes narodowy, o nieodzownym budowaniu dobrych relacji z cerkwią (większość Rumunów jest prawosławna) oraz o pseudonaukowych teoriach. A wszystko to osiągnął za sprawą tzw. nowych mediów, zwłaszcza TikToka, z którego korzysta około połowy uprawnionych do głosowania. Co istotne, drugie miejsce w wyborach zdobyła Elena Lasconi, kandydatka o poglądach centro-lewicowych, w przeszłości związana z ruchami miejskimi i działalnością samorządową. Również nie była postacią „z duopolu" ani zamieszaną w afery. Jej elektoratem byli zazwyczaj „młodzi wykształceni z Bukaresztu" albo ideowi zwolennicy liberalizmu. I być może ta sytuacja była największym szokiem dla duopolu.

Demokracja walcząca wybory unieważniająca

Wybory w Rumunii z 2024 roku zostały unieważnione decyzją Trybunału Konstytucyjnego, który motywował swoje postępowanie domniemanym wpływem podmiotów zagranicznych. Debata na temat ich unieważnienia trwała długo, w międzyczasie Călin Georgescu był parokrotnie zatrzymywany i wypuszczany, odbierano mu również dostęp do mediów społecznościowych. Przeciwniczką unieważnienia, co istotne (i być może wynikające z oportunizmu), była Elena Lasconi. Odbyły się również wybory parlamentarne, w których dosyć duży sukces odniosła narodowa partia AUR z George'em Simionem na czele. AUR powstał w 2019 roku. Wówczas do wyborów podchodził praktycznie bez struktur. Podczas wyborów w 2020 roku niektóre sondażownie pomijały AUR przy tworzeniu exit polli. A nacjonaliści rumuńscy zdobyli 9% głosów (i to zajmując pierwsze miejsce wśród Rumunów mieszkających we Włoszech, czyli największej diaspory, oraz zdobywając spore poparcie na terenach wiejskich). Z drugiej strony sporą reprezentację w wyborach z 2024 roku wprowadziła do parlamentu UCR, czyli partia Eleny Lasconi. Być może Rumuni – niezależnie, czy uważają się za patriotów, czy za liberałów – mają dosyć duopolu pseudochadeków i pseudosocjaldemokratów? Nie byłoby to nic dziwnego. Po unieważnieniu wyborów z 2024 roku kolejne odbyły się w 2025 roku. 12 lutego z funkcji zrezygnował prezydent Klaus Iohannis. Zaczął pełnić ją były premier Ilie Bolojan z Partii Narodowo-Liberalnej. W wyborach z maja tego roku Georgescu nie mógł kandydować. Patriotyczny elektorat zagospodarował lider AUR-u George Simion, który pierwszą turę wygrał. Do drugiej tury wszedł również Nicușor Dan, kandydat o poglądach liberalnych, były włodarz Bukaresztu popierany przez ugrupowanie niegdyś popierające Elenę Lasconi, czyli Związek Zbawienia Rumunii. W zasadzie pomiędzy 4 a 18 maja 2025 roku nikt nie wiedział, kto wygra drugą turę. Ostatecznie zrobił to Nicușor Dan, w pewnym stopniu za sprawą głosów Rumunów z Mołdawii (tu należy zaznaczyć, że Simion ma konflikt z prezydent Mołdawii Maią Sandu i ta agitowała przeciwko jego kandydaturze) oraz… Węgrów, tych samych, którzy głosowali na węgierskie partie prawicowe i narodowe, a którzy z dokładnie tego samego powodu, jakim jest przywiązanie do tożsamości narodowej, nie chcieli widzieć rumuńskiego nacjonalisty u władzy. Sam Simion też zaniedbał o kampanię, na ostatniej prostej preferując kreowanie wizerunku za granicą niż rozmowy o problemach lokalnych – co zawsze było mocną stroną AUR-u. Nicușor Dan był i jest pierwszym prezydentem spoza systemu. Nie oznacza to jednak, że kryzys polityczny w Rumunii się zakończył.

PATRIOTYCZNY ELEKTORAT ZAGOSPODAROWAŁ LIDER AUR-u GEORGE SIMION, KTÓRY WYGRAŁ PIERWSZĄ TURĘ. DO DRUGIEJ WSZEDŁ NICUȘOR DAN, KANDYDAT O POGLĄDACH LIBERALNYCH.

Krajobraz po wyborach

Sytuacja z pozoru się uspokoiła. Jednak kryzys polityczny trwa. Od ponad czterech miesięcy Rumunia nie posiada pełnoprawnego rządu. Rośnie poparcie dla rumuńskich narodowców z AUR-u, ale trudno wyobrazić sobie ich zdolność koalicyjną. Rośnie również społeczne rozczarowanie klasą polityczną. 80 procent Rumunów twierdzi, że ich państwo zmierza w złym kierunku, a 70–80 procent nie ufa prezydentowi, rządowi ani parla-

eprasa.pl e6696996e7

mentowi. Na początku bieżącego roku wprowadzone zostało nowe prawo mające na celu walkę z ekstremizmem politycznym. Ustawa została zaproponowana przez posła Silviu Vexlera, który pełni również funkcję przewodniczącego Federacji Gmin Żydowskich w Rumunii i zakazuje publicznego gloryfikowania postaci faszystowskich oraz wprowadza sankcje karne za promowanie antysemityzmu, rasizmu lub ksenofobii. Przepis dotyczy zarówno działalności internetowej, jak i życia publicznego. Problemem zapisu jest jego nieszczelność i nieostrość; na jego mocy podciągnięte pod propagowanie faszyzmu mogą być hasła typowo suwerennościowe i patriotyczne. Sam Nicușor Dan, świadomy reakcji społecznej, odwlekał podpisanie ustawy. Oliwy do ognia dolewa sytuacja geopolityczna. Rumunia jest państwem NATO, które również pada ofiarą rosyjskiej wojny hybrydowej. W maju bieżącego roku dron bezzałogowy uderzył w budynek mieszkalny w miejscowości Gałacz, powodując uszczerbek na zdrowiu dwóch obywateli. Sytuacje tego typu zdarzają się dosyć często. Obecnie głośnym echem obija się kwestia protestów w Bukareszcie. We wtorek, 15 września, rolnicy, pasterze i hodowcy sparaliżowali ulice rumuńskiej stolicy. Powodem wystąpienia były działania rządu Rumunii dokonywane pod egidą Komisji Europejskiej. Władze zdecydowały się na zakaz eksportu żywych owiec do końca roku kalendarzowego 2026. Kontrowersje budzą również decyzje weterynarzy o prewencyjnym wybijaniu całych stad, które argumentowane jest zaobserwowaniem ognisk pomoru małych przeżuwaczy w kraju. Warto zaznaczyć, że rolnicy to liczna grupa zawodowa w Rumunii; mniej więcej co piąty Rumun jest w pewnym stopniu zatrudniony w rolnictwie (przy czym wliczani do tej grupy są również obywatele prowadzący drobne gospodarstwa; w rzeczywistości możemy mówić o co dziesiątym obywatelu, co i tak przewyższa unijną średnią 4%). Protesty rozpoczęły się w sposób pokojowy. Zjawiło się około 4–5 tysięcy demonstrantów. Do rolników dołączyli również zwolennicy rumuńskiego antysystemowca Călina Georgescu. W nieznanych okolicznościach wywiązało się starcie ze służbami porządkowymi. Policjanci użyli gazu łzawiącego. Rannych zostało kilka osób, kilkadziesiąt zatrzymano.

PALĄCE PROBLEMY RUMUNII: ZASIEDZENIE BEZIDEOWYCH ELIT KOMPRADORSKICH, ZANIEDBANIE TERENÓW WIEJSKICH ORAZ TENDENCJE SPOŁECZNE I ROLA NOWYCH MEDIÓW.

Elity sobie nie radzą

21 września bieżącego roku funkcjonariusze DIICOT (prokuratura ds. przestępczości zorganizowanej i terroryzmu) weszli do mieszkania Călina Georgescu i zatrzymali go w związku z zarzutem o przestępczość na tle finansowym. Zwycięzca pierwszej tury unieważnionych wyborów stwierdził, że to działania dyktatorskie. Ma jednak swoich zwolenników, i to całkiem licznych. Nie da się wszak unieważnić niezadowolenia społecznego. Sytuacja w Rumunii pokazuje kilka palących problemów: od kwestii zasiedzenia bezideowych elit kompradorskich, przez zaniedbanie terenów wiejskich, po tendencje społeczne i rolę nowych mediów. Georgescu cieszy się największym zaufaniem wśród rumuńskich polityków, chociaż jego poglądy w wielu przypadkach są zwyczajnie pseudonaukowe lub „odwołujące się do ruchów radykalnych", które nie są nawet szeroko znane w Rumunii. Często popierają go nie „zadeklarowani tradycjonaliści", tylko obywatele, którzy chcieliby widzieć nowe miejsca pracy w państwie, gdzie jedna czwarta młodych Rumunów żyje w ciężkich warunkach materialnych, ponad jedna piąta mieszka dalej z rodzicami, a 19,8% obywateli między 15. a 29. rokiem życia nie pracuje i nie podejmuje nauki. Czy fenomen Georgescu to sukces rumuńskiego antysystemu? Nie, to słabość dotychczasowej klasy politycznej. A jeśli ta nie wyciągnie wniosków – będzie jeszcze gorzej i dla niej, i dla kraju.

CZY FENOMEN CĂLINA GEORGESCU TO SUKCES RUMUŃSKIEGO ANTYSYSTEMU? NIE, TO SŁABOŚĆ DOTYCHCZASOWEJ KLASY POLITYCZNEJ.

eprasa.pl e6696996e7

Naga broń PRAWICY

Dziś prawica broni ociekających seksem reklam i występujących półnago (lub wręcz nago) celebrytek, lewica zaś z purytańskim zgorszeniem przeciwko temu wszystkiemu protestuje. Wbrew pozorom zagadka tej **nieoczekiwanej** zamiany miejsc wcale nie jest trudna do rozwikłania.

Ludwik Pęzioł

Proj. K. Karnkowski

eprasa.pl e6696996e7

Choć wojna o goliznę w przestrzeni publicznej jest stara jak świat, teraz znów weszła w ostrzejszą fazę, a to za sprawą kilku wydarzeń. Pierwsze dotyczy kwestii prezentacji kobiet w sporcie. W tym roku organizacje European Broadcasting Union (Europejska Unia Nadawców) i European Athletics wydały wytyczne, według których operatorzy powinni unikać w transmisjach np. ujęć, spowolnień czy zbliżeń na ciała sportsmenek o ewidentnie seksualnym charakterze. Być może za sprawą mylącego podobieństwa nazwy EBU do Unii Europejskiej szybko doszło do dezinterpretacji, według której miało to być nowe prawo UE. Reakcją była oczywiście fala kpin, że teraz nikt nie będzie oglądał kobiecych sportów, a z drugiej strony protesty przeciwko kolejnym regulacyjnym zapędom Brukseli.

W to wszystko wstrzeliła się kampania reklamowa amerykańskiej gwiazdeczki Sydney Sweeney, robiącej w internecie za symbol seksownej kobiecości, służący do okładania wszelkich feministek i wokeistów jako żywa manifestacja heteroseksualizmu i tradycyjnych kanonów piękna, z którymi tzw. lewactwo od dawna wojuje. Sydney Sweeney reklamowała giełdę sportową Novig, nie po raz pierwszy używając do tego swoich cielesnych walorów. Po kilku erotyzujących spotach (np. reklamie dżinsów z hasłem „Sydney Sweeney has great jeans", oskarżonej o propagowanie eugeniki przez grę słów „jeans" i „genes", czyli „geny") aktorka i celebrytka stała się czołową postacią publiczną do „detonowania" lewackiego komentariatu i wszelkich feministek sprzeciwiających się dominacji jednego kanonu żeńskiej urody. Swoją nagą kampanią Novigu blond piękność dolała oliwy do ognia, występując bez ubrania m.in. na stole bilardowym, obręczy do koszykówki czy zasłaniając obnażone piersi piłkami do futbolu amerykańskiego. Wszystko to zostało odczytane jako próba pogrzebania całego wysiłku na rzecz „odseksualizowania" kobiecych dyscyplin.

Na sporcie rzecz się jednak nie kończy. W Ameryce bowiem pokazywanie seksownych kobiet znów wraca do łask, choćby w marketingu. Firma bieliźniarska Victoria's Secret powróciła po latach do pokazu swoich „aniołków" pt. Victoria's Secret Fashion Show, a reklamy „inkluzywne" zaczęły być wypierane na rzecz tych kojarzących się z „backlashem" lat 80. eksponującym atrakcyjne i seksowne kobiety zamiast „ciałopozytywnych trans-Murzynów w stanikach". Jeżeli dodamy do tego kolejny trend, jakim jest publiczne rozbieranie przez sztuczną inteligencję wizerunków znanych kobiet, podniesiona temperatura sporu będzie już w pełni zrozumiała.

Tyłek jako broń polityczna

Wszystko to nie byłoby tak ciekawe, gdyby nie fakt, jak na te zjawiska reagują różne strony sporu politycznego. Łatwo sobie wyobrazić, jak wyglądałoby to dawniej: prawica mówiłaby o demoralizacji (kiedyś nawet bardzo kulturalne i w pełni „ubrane" reklamy podpasek budziły w jej szeregach kontrowersje), a lewica śmiałaby się ze świętoszkowatych kazań podstarzałych konserwatystów. Ale to już przeszłość.

Tyłki, nogi i piersi zarówno sportsmenek, celebrytek, jak i „aniołków" okazały się znakomitą amunicją przeciw „lewactwu", które według „nowej wspaniałej prawicy" mają wzbudzać zazdrość i oburzenie drugiej strony. Bo przecież wiadomo, że feministki to brzydkie, grube i nieszczęśliwe kaszaloty, które szlag trafia, gdy widzą takie seksowne i niewstydzące się swojej kobiecości ślicznotki. Najlepiej, niczym Alex z „Mechanicznej pomarańczy", przytwierdzić je siłą do fotela, podciągnąć im powieki i kazać oglądać tyłek i piersi Sweeney aż do końca świata. Niech cierpią. A sportsmenki niby mówią o tym, że nie chcą być „seksualizowane", a same grają swoimi wdziękami, więc o co chodzi?

Z drugiej strony, „purytańskie" lewactwo swoim adwersarzom w hipokryzji nie ustępuje. Faktem jest, że gdy kręcone jest tzw. porno dla kobiet lub powstają erotyczne przedstawienia transosób, Murzynek czy gejów, żadnego problemu nie ma, a wręcz jest to chwalone jako walka z „heteromatriksem" czy innymi złowieszczymi systemami dominacji. Co więcej, jeśli to wszystko się komuś nie podoba, ewidentnie świadczy o „zinternalizowanej homofobii", rasizmie i Bóg wie czym jeszcze.

Jak więc na to nie patrzeć, obie strony wypadają w tej naparzance dosyć obrzydliwie.

> ROZNEGLIŻOWANA KOBIETA PARADOKSALNIE STAŁA SIĘ DLA PRAWICY BRONIĄ PRZECIWKO LEWACTWU.

Odwrócony świat

Co właściwie doprowadziło do tak daleko idącej zmiany pozycji i gdzie się podziała wspomniana „demoralizacja"? Tutaj winni aż sami proszą

eprasa.pl e6696996e7

się o wytypowanie. W przypadku prawicy jest to oczywiście odejście od chrześcijaństwa i zastąpienie go złotym cielcem wolnego rynku, dogmatyczną niepoprawnością polityczną i ślepym antywokeizmem. Jeżeli czymś można przywalić w „lewactwo", nie należy się krępować. Kto by przy tak zaciętej wojnie kulturowej pamiętał o starej maksymie, że „kontrrewolucja nie jest prostym przeciwieństwem rewolucji"? A właśnie zignorowanie tej przestrogi sprawia, że dochodzimy do sytuacji, w której nienawiść do postępactwa jest większa niż przywiązanie do wartości, których chce się bronić.

Oczywiście trudno żyć z taką prawdą, więc dochodzi do (często absurdalnej) racjonalizacji własnej postawy, np. przekonania, że taka seksualizacja właściwie jest konserwatywna, bo jest „hetero". Zaiste wielka to aspiracja: głosić dawną amerykańską rewolucję seksualną i przedstawiać to jako konserwatyzm. Rzeczywistość niestety jest zupełnie inna: odłączona od chrześcijaństwa, materialistyczna i liberalizująca się prawica po prostu staje się siłą czysto negatywną, dążącą do destrukcji przeciwnika, nawet kosztem destrukcji samej siebie.

Z kolei u „lewactwa" widać wyraźnie, że nienawiść do „białych heteroseksualnych mężczyzn" (bo to przecież dla nich występują roznegliżowane gwiazdki i „aniołki"), a także sekciarska nadgorliwość w poszukiwaniu przestrzeni dyskryminacji i wykluczenia doprowadziły do rezygnacji z ideałów równościowych. Bo cóż to za równość, jeśli jedni mają prawo się eksponować i podniecać, a inni nie.

NIENAWIŚĆ DO WROGA I SEKCIARSTWO SPRAWIŁY, ŻE LEWICOWI POSTĘPOWCY ODESZLI OD WARTOŚCI RÓWNOŚCIOWYCH.

„Lep na spermiarzy"

Odejście prawicy od zasad chrześcijańskich prowadzi już nie tylko do obrony publicznie prezentowanej golizny „na złość lewakom", ale również do wykorzystywania elementów seksualnych do walki politycznej. Jako przykład takich działań można wskazać promowanie kobiet polityków, działaczek czy dziennikarek, u których ponętny, a nawet wyzywający styl nie jest jedynie dodatkiem do profesjonalizmu, ale wręcz go zastępuje. Brutalnie nazywa się to „lepem na spermiarzy", a więc mężczyzn, którym nadmiernie rozbudzone libido upośledza istotne funkcje poznawcze, również w kwestii wyborów politycznych. Dla „nowej wspaniałej prawicy" taka praktyka to właściwie już punkt obowiązkowy. Z litości pominę konkretne przykłady.

Poważniejszą sprawą jest jednak niejednoznaczne stanowisko w sprawie ochrony dzieci przed seksualizacją np. w internecie czy przestrzeni miejskiej. Bo tutaj „nowa wspaniała prawica" stoi w rozkroku. Z jednej strony jak najbardziej sprzeciwia się temu procederowi, ale gdy przychodzi do rozmowy o konkretnych regulacjach, nagle odzywa się impuls „wolnościowy" i mnożą się wątpliwości: A kto ma niby określać, co jest pornografią? Czy nie zostanie to wykorzystane do inwigilacji obywateli? Czy nie toruje drogi dybiącemu na naszą wolność strasznemu socjalizmowi? Innymi słowy, jest to postawa antypornograficzna, ale bezobjawowa: dzieci oczywiście trzeba chronić, ale bez ograniczania świętej wolności przedsiębiorców.

PRAWICA CORAZ BARDZIEJ ZAPOMINA O MAKSYMIE, ŻE KONTRREWOLUCJA NIE JEST PROSTYM PRZECIWIEŃSTWEM REWOLUCJI.

Szczęśliwie jest i druga strona, która swoje obrzydzenie do instytucji państwa potrafi w tym względzie przezwyciężyć. By jednak to ona nadawała ton całości, należy powrócić do ustawień domyślnych, które rozregulowała handlarsko-lichwiarska epoka materialistycznego liberalizmu.

eprasa.pl e6696996e7

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

MILEY CYRUS – BASS PERSUADES
WYD. ATLANTIC

Miley po raz kolejny zmienia kurs, choć tym razem nie odcina się całkowicie od poprzednich poszukiwań. „Bass Persuades" to album zbudowany na pulsie tanecznej elektroniki, ale pod powierzchnią klubowych rytmów kryje się znacznie więcej: opowieści o bliskości, pożądaniu, miłości i potrzebie wyrwania się z cyfrowej rzeczywistości. Tytułowy utwór brzmi jak manifest – muzyka ma przestać być jedynie tłem do przewijania ekranu i ponownie stać się doświadczeniem fizycznym. Miley dobrze odnajduje się zarówno w mroczniejszych, eksperymentalnych fragmentach, jak i bardziej romantycznych kompozycjach. Problemem pozostaje jednak spójność. Są tu momenty naprawdę intrygujące, ale także utwory, które sprawiają wrażenie bezpieczniejszego powrotu do znanych popowych rozwiązań. To nierówny, lecz niewątpliwie interesujący rozdział w karierze artystki.

CARLY RAE JEPSEN – DAY AND NIGHT
WYD. SCHOOL BOY/INTERSCOPE RECORDS

Carly Rae Jepsen zawsze miała słabość do popowego nadmiaru, ale „Day and Night" przenosi tę cechę na zupełnie nowy poziom. Dwupłytowa, 24-utworowa konstrukcja pozwala jej pokazać dwa odmienne oblicza: „Day" jest jaśniejsze, bardziej romantyczne i zanurzone w psychodelicznym popie, disco oraz folkowych inspiracjach, natomiast „Night" skręca zdecydowanie w stronę syntezatorów, parkietu i eleganckiej klubowej elektroniki. Jepsen pozostaje mistrzynią melodii, choć tym razem nie każda kompozycja posiada potencjał klasycznego popowego przeboju. Rozmach bywa więc również obciążeniem, szczególnie gdy album zaczyna tracić tempo. Jednocześnie właśnie dzięki długości i swobodzie artystka pozwala sobie na eksperymenty, których wcześniej mogło zabraknąć. „Day and Night" jest więc mniej oczywistą, bardziej dojrzałą i odważniejszą odsłoną jej popowej wrażliwości.

TOVE LO – ESTRUS
WYD. PRETTY SWEDE

Tove Lo od początku kariery potrafiła zamieniać najbardziej niewygodne emocje w chwytliwe popowe piosenki. „Estrus" rozwija tę strategię, ale robi to jeszcze bardziej bezpośrednio i bezwstydnie. Szwedzka wokalistka zanurza się w świecie nocnych imprez, seksualności, uzależnień, frustracji i emocjonalnego chaosu, a taneczna produkcja staje się idealnym kontrapunktem dla tematów, które nie zawsze są przyjemne. To najbardziej klubowe oblicze Tove Lo, choć pod warstwą pulsujących syntezatorów i mocnych bitów nie brakuje wrażliwości. Artystka nie próbuje być grzeczna ani jednoznaczna – potrafi jednocześnie bawić się własnym wizerunkiem i mówić o rzeczach bardzo osobistych. „Estrus" bywa chaotyczny, momentami wręcz przesadny, ale właśnie ta nieprzewidywalność stanowi jego siłę. To pop dla tych, którzy lubią, gdy taniec ma również drugie, znacznie bardziej niepokojące dno.

BECK – RIDE LONESOME
WYD. ILIAD RECORDS/CAPITOL RECORDS

Beck wraca do świata, w którym jego głos, gitara i melancholia wystarczą, by zbudować kompletną muzyczną opowieść. „Ride Lonesome" przywołuje atmosferę „Sea Change" i „Morning Phase", a udział muzyków związanych z tamtymi albumami oraz miks Nigela Godricha dodatkowo wzmacniają poczucie ciągłości. Akustyczne gitary, delikatne smyczki, pedal steel i spokojne, lekko psychodeliczne faktury tworzą muzykę filmową, intymną i zanurzoną w samotności. Beck nie próbuje jednak epatować cierpieniem. Zamiast tego obserwuje rozpad relacji, izolację i przemijanie z dystansu człowieka, który wie już, że nie każdą stratę można naprawić. Momentami album świadomie powtarza rozwiązania znane z jego wcześniejszych płyt, ale trudno odmówić mu elegancji i konsekwencji. „Ride Lonesome" jest płytą wyciszoną, melancholijną i bardzo świadomą własnego ciężaru emocjonalnego.

eprasa.pl e6696996e7

KULTURA

Czytaj też:
„Ja donosicielstwem się brzydzę” 62

Skupiam się NA CODZIENNOŚCI

– Jeżeli ktoś poszukuje czegoś prawdziwego, niewykreowanego, czegoś, co płynie prosto z serca i duszy, z potrzeby człowieka, który całe swoje życie skupia wokół muzyki i chce przekazywać innym swoje emocje, to myślę, że znajdzie to w mojej twórczości – mówi **Magda Szlęzak**, wokalistka, autorka tekstów, kompozytorka, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

Fot. Adrian Gwoździowski

– Magda Szlęzak – to nazwisko rzeczywiście łatwo zapada w pamięć.

– Słyszałam nawet głosy, że powinnam wymyślić sobie pseudonim artystyczny, bo moje nazwisko jest dosyć trudne. Mimo wszystko jest to jednak moja postać, z którą jestem od urodzenia, więc pozostanę po prostu Magdą Szlęzak. Myślę, że rozpoznawalność wynika w dużej mierze z mojej osobowości i charakteru, ale również z twórczości, która jest dość charakterystyczna. Nie jest to coś bardzo komercyjnego, co obecnie dominuje na rynku. Mam

eprasa.pl e6696996e7

nadzieję, że nadchodząca płyta również będzie się wyróżniać.

– Nie zależy Ci na tym, żeby Twoja muzyka była komercyjna?
– I tak, i nie. Nie lubię wpasowywać się w gotowe schematy i wolę tworzyć to, co naprawdę gra mi w duszy. Oczywiście podczas pracy nad materiałem zwracałam uwagę na to, co jest obecnie popularne, ale ostatecznie płyta powstała przede wszystkim z potrzeby serca. Jeżeli chcę tworzyć coś naprawdę własnego, muszę zaufać sobie, a nie temu, co jest aktualnie najbardziej komercyjne.

NIE LUBIĘ WPASOWYWAĆ SIĘ W GOTOWE SCHEMATY I WOLĘ TWORZYĆ TO, CO NAPRAWDĘ GRA MI W DUSZY.

– Co zatem gra Ci w duszy?
– Skupiam się na codzienności i na tym, żeby zauważać „tu i teraz". Miałam w swoim życiu trudniejszy okres, kiedy musiałam mocniej skupić się na sobie i wejść w swoje myśli. Właśnie wtedy powstało najwięcej materiału. Staram się opowiadać o historiach, które są ze mną od dzieciństwa, o doświadczeniach, relacjach z ludźmi, ale również o świecie, który nas otacza. Ważne są dla mnie natura i zwykłe życie.

– Czyli jesteś artystką prozaiczną? Zamiast kwiatków, łąk, miłości i seksu – proza życia?
– Tak.

– Żyjesz wyłącznie z muzyki?
– Tak. Na co dzień jestem nauczycielką śpiewu. Prowadzę działalność muzyczno-artystyczną, uczę dzieci, młodzież i dorosłych. Staram się zaszczepiać w innych to, co kiedyś zostało zaszczepione we mnie. Oprócz tworzenia własnej muzyki i realizowania nagrań dla innych przede wszystkim koncertuję wspólnie z mężem.

– Twój mąż śpiewa?
– Gra. Jest multiinstrumentalistą, przede wszystkim gitarzystą, ale również producentem, aranżerem i kompozytorem. To człowiek mózg.

– Gracie własne utwory, imprezy okolicznościowe, wesela?
– Nigdy w życiu nie zaśpiewałam na żadnym weselu. Nie krytykuję oczywiście muzyków, którzy na nich grają, bo wielu moich znajomych właśnie w ten sposób pracuje. My gramy recitale i koncerty, między innymi w kurortach i hotelach. Wykonujemy głównie covery, ale staramy się wplatać również nasze autorskie utwory. Często publiczność, kiedy dowiaduje się, że tworzymy własną muzykę, sama prosi, żebyśmy coś zagrali.

– Gdzie można Was spotkać?
– Głównie na Podkarpaciu i w województwie świętokrzyskim, ale graliśmy również w Warszawie. Dużo zależy od tego, że mamy dwójkę małych dzieci.

– Jak godzicie życie artystyczne z wychowywaniem dzieci?
– Jest to bardzo trudne. Mamy ogromne wsparcie dziadków. Przyjechaliśmy tutaj, bo babcia Edytka została z dziećmi. To właśnie dzięki niej mogliśmy również nagrać teledysk do „Błogo" w Bieszczadach. Pojechała z nami i zajęła się dziećmi.

– Ile mają lat?
– Pięć i dwa. To dzieci, które wciąż bardzo potrzebują bliskości i obecności rodziców. Jednocześnie mamy domowe studio, więc nawet nagranie jednego take'a może być problemem, bo czasem w tle słychać dzieci. Z drugiej strony one uwielbiają, że gramy. Córka zna i śpiewa wszystkie moje piosenki, syn również. Nie wciskamy im tego na siłę. Po prostu muzyka jest częścią naszego życia. Moim celem było to, żeby po pojawieniu się dzieci nie zatracić siebie i nadal działać.

– Magdo, po co autorska twórczość w czasach ogromnej podaży muzyki, sztucznej inteligencji i produkcji, które pojawiają się i znikają w błyskawicznym tempie?
– Po to, żeby żyć i funkcjonować.

– Ale po co własna muzyka, skoro jesteś nauczycielką śpiewu, koncertujesz i mogłabyś na tym poprzestać?
– W autorskiej twórczości człowiek najbardziej się spełnia. To jest też trochę forma autoterapii – podzielenie się swoją historią, emocjami, doświadczeniami. Fajne jest wykonywanie czyjejś muzyki, bo dzięki temu mogę również tworzyć własną. To, co zarobię na koncertach, później inwestuję w swoją muzykę. Mogłabym zajmować się tylko tym, co robię obecnie, ale wiem, że nie byłabym wtedy człowiekiem w pełni szczęśliwym. Autorska muzyka daje mi największe poczucie spełnienia.

SKUPIAM SIĘ NA CODZIENNOŚCI I NA TYM, ŻEBY ZAUWAŻAĆ „TU I TERAZ".

eprasa.pl e6696996e7

– Skoro mówimy o szczęściu, to kiedy jest ci „błogo”?

– Kiedy nie muszę za niczym pędzić. Kiedy nie mam zbyt wielu obowiązków i mogę skupić się na chwili, na „tu i teraz”. Żyjemy w ogromnym pędzie – praca, życie rodzinne, obowiązki. Najbardziej błogo jest wtedy, kiedy możemy po prostu usiąść, poczuć spokój, rozluźnić się i wiedzieć, że nigdzie nie musimy się spieszyć.

– Jak odpoczywasz?

– Problem w tym, że właściwie w ogóle nie odpoczywamy. Skończyły się wakacje, a jesteśmy bardziej zmęczeni niż przed nimi. Dzieci cały czas są w domu, Adrian tworzy moją muzykę i pracuje również dla innych artystów, mamy koncerty, zlecenia. Mieszkamy w domu z ogrodem, hodujemy pomidory i ogórki. Życie jest cały czas na pełnej parze.

– To ogród jest zarobkowy czy rekreacyjny?

– Rekreacyjny i na własny użytek. To przede wszystkim odskocznia od pracy i obowiązków. Taka mała oaza spokoju. Największy odpoczynek znajduję jednak w górach. Poznaliśmy się z Adrianem w Bieszczadach, tam się również zaręczyliśmy. Góry są miejscem, w którym naprawdę odnajduję spokój. Kiedy mogę usiąść i posłuchać ciszy, szumu wiatru czy strumyka, mam poczucie, że nie muszę za niczym pędzić.

– Czyli góry są Waszym miejscem na ziemi?

– Myślę, że tak.

– A gdyby pojawiła się propozycja, która mogłaby znacząco rozwinąć Waszą autorską karierę, ale wymagałaby przeprowadzki całej rodziny do Warszawy?

– Co ciekawe, mieliśmy kiedyś mieszkać w Warszawie. To było jeszcze przed dziećmi. Adrian miał nawet plan, żeby rozwozić podania o pracę. Ja również byłam taką małą dziewczynką z marzeniami, że wyjadę do Warszawy i zrobię wielką karierę. Później jednak człowiek zderza się z rzeczywistością. Życie potoczyło się swoim torem i dostosowaliśmy się do niego. Gdyby jednak pojawił się naprawdę duży sukces, pewnie również dostosowalibyśmy się do sytuacji. Być może przenieślibyśmy się na obrzeża Warszawy, ale chcielibyśmy mieć kawałek ogródka.

ZAPRASZAMY NA PODKARPACIE! JEST NAPRAWDĘ CUDOWNIE.

– Co poza muzyką połączyło Cię z mężem?

– Właściwie trudno oddzielić to od muzyki. Poznaliśmy się właśnie w Bieszczadach, na warsztatach muzycznych. Ja byłam uczestniczką, Adrian wykładowcą. Zaczynałam wtedy od gitary i miałam z nim kilka lekcji. Później zaczęliśmy grać razem w różnych projektach – ja jako wokalistka, on jako gitarzysta. Muzyka była więc bardzo ważna. Ale dużo ze sobą rozmawialiśmy, wymienialiśmy się poglądami. To również bardzo nas połączyło.

DUŻA CZĘŚĆ DZIECI I MŁODZIEŻY NIE SŁUCHA DZIŚ MUZYKI W TRADYCYJNY SPOSÓB.

– Jak wygląda zwykły dzień Magdy Szlęzak?

– Zaczyna się od tego, że budzi mnie mój maluszek i woła, że chce jeść. Wstaję, włączam ekspres do kawy, robię kawę i ogarniam obowiązki domowe oraz dzieciowe. Później jadę do pracy, wracam wieczorem i znów zajmuję się domem. Tak wygląda większość tygodnia.

– Mąż pomaga?

– Powiedziałabym raczej, że razem prowadzimy dom i razem wychowujemy dzieci. Staramy się działać wspólnie zarówno w życiu artystycznym, jak i domowym.

– Uczysz tylko dzieci?

– Również młodzież i dorosłych. Pracuję jako instruktor w ośrodku kultury. Jest duże zainteresowanie zajęciami, bo dzieci chcą się rozwijać i śpiewać. Mam kilka naprawdę zdolnych osób, w których widzę ogromny potencjał. Adrian również uczy gry na instrumentach – między innymi na gitarze, basie i ukulele.

– Każdy może śpiewać?

– Myślę, że tak. Podstawą jest przede wszystkim słuch muzyczny, ale wiele rzeczy można wypracować. Miałam osoby bardzo zamknięte i zablokowane, które miały ograniczenia związane z głosem. Udawało się jednak stopniowo otwierać ich skalę i wydobywać głos. Dużo zależy od pracy.

– A słuch muzyczny można wyćwiczyć?

– W moim doświadczeniu nie miałam wielu takich przypadków, ale uważam, że naprawdę dużo można zrobić. Problemem jest również to,

eprasa.pl e6696996e7

Magda Szlęzak

wokalistka, autorka tekstów i muzyki oraz jedna z tych artystek, które nie boją się mówić własnym głosem dosłownie i w przenośni. Absolwentka wokalistyki jazzowej na UMCS-ie w Lublinie, którą ukończyła z wyróżnieniem. Od lat porusza się między światem alternatywnego popu, soulu i elektroniki, tworząc muzykę pełną emocji, osobistych historii i świeżych brzmień.

Pochodzi z małej podkarpackiej miejscowości Kaczaki, a swoją muzyczną drogę zaczynała w Tarnobrzeskim Domu Kultury. Na swoim koncie ma liczne nagrody i finały ogólnopolskich konkursów wokalnych, m.in.: Tylko Polska Piosenka, Metamorfozy Sentymentalne, PIOSENKARNIA, Wygraj Sukces, Hope Festival oraz wiele innych.

że duża część dzieci i młodzieży nie słucha dziś muzyki w tradycyjny sposób.

– Jak to możliwe, skoro cały czas mają muzykę w mediach społecznościowych?

– Często są to tylko kilkusekundowe fragmenty utworów. Proponuję na zajęciach piosenkę, a uczeń mówi: „Kojarzę to". Okazuje się, że zna ją z TikToka. Bywa, że pytam, czy słucha muzyki w domu, i słyszę: „Nie". To pokazuje, że kontakt z muzyką jest dziś często bardzo powierzchowny.

NIE CHCĘ CAŁY CZAS ŚPIEWAĆ WYŁĄCZNIE O RADOŚCI.

– Jako nauczycielka śpiewu jesteś również zwolenniczką dobrej dykcji. Dlaczego we współczesnym popie tak często śpiewa się bardzo „na luzie", niemal jak w rozmowie?

– Sama niedawno rozmawiałam z kimś na ten temat. Miałam problem ze zrozumieniem tekstu polskiego utworu, mimo że bardzo uważnie słucham wokalu. Jestem zdecydowanie zwolenniczką poprawnej, wyraźnej dykcji. Często po naszych koncertach podchodzą do mnie ludzie i mówią: „W końcu zrozumieliśmy tekst piosenki". To jest dla mnie bardzo ważne.

– Nie boisz się, że z taką muzyką będzie Ci trudniej przebić się do głównego nurtu?

– Wiem, że może być trudno. Miałam w swoim życiu trudniejszy okres i powstały wtedy również bardziej sentymentalne, smutniejsze utwory. Życie składa się przecież ze wzlotów i upadków, z kontrastów. Nie chcę cały czas śpiewać wyłącznie o radości. Ale gdyby wszystko było proste, nie byłoby w tym żadnej frajdy.

MOIM CELEM BYŁO TO, ŻEBY PO POJAWIENIU SIĘ DZIECI NIE ZATRACIĆ SIEBIE I NADAL DZIAŁAĆ.

– A dlaczego nie grasz swoim wyglądem? Jesteś atrakcyjną kobietą, a media społecznościowe bardzo mocno wykorzystują dziś wizerunek.

– Ale po co? Dlaczego miałabym iść na łatwiznę? Całe życie pracowałam na swoje cele. Wiem, że może być mi trudniej, ale wiele trudnych rzeczy udało mi się już w życiu przejść i wyjść na prostą. Myślę, że tym razem też się uda.

– Dzieci odziedziczyły po Was talent muzyczny?

– Wydaje nam się, że tak, ale absolutnie nie wywieramy na nich presji. Mają swoje instrumenty, na przykład ukulele, i same po nie sięgają. Nie zmuszam ich do śpiewania. Córka sama wymyśla teksty o misiach, pogodzie czy słońcu i śpiewa. To po prostu wychodzi z niej naturalnie.

– Czyli rośnie kolejne „nepo baby"?

– Zapraszamy na Podkarpacie! Jest naprawdę cudownie.

– Na koniec: gdybyś miała powiedzieć coś osobie, która pierwszy raz Cię widzi i słyszy, a za chwilę ma poznać singiel „Błogo", który zapowiada Twój album – co chciałabyś jej przekazać?

– Jeżeli ktoś poszukuje czegoś prawdziwego, niewykreowanego, czegoś, co płynie prosto z serca i duszy, z potrzeby człowieka, który całe swoje życie skupia wokół muzyki i chce przekazywać innym swoje emocje, to myślę, że znajdzie to w mojej twórczości. Ważna jest również warstwa instrumentalna. Na płycie pojawiają się świetni muzycy. To nie jest smutna muzyka. Raczej propozycja dla kogoś, kto szuka czegoś świeżego, nieoczywistego i niekoniecznie prostego.

eprasa.pl e6696996e7

„Ja donosicielstwem się brzydzę”

Za nami kolejny „Wieczór z historią w Sali BHP”. Tym razem gościem Adama Chmieleckiego był znany naszym czytelnikom pisarz **Sebastian Reńca**. Autor opowiadał w Gdańsku o pierwszoplanowych postaciach swoich najnowszych książek: perfidnym Mojżeszu Merinie – opisanym w „Szulerze” – oraz włóczędze likwidującym szmalcowników Franzu Lorencu, tytułowym wykidajle.

Marcin Krzeszowiec

Fot. kadr z relacji

Sebastian Reńca rozpoczynał swoją dziennikarską przygodę na łamach „Dziennika Zachodniego” i „Tygodnika Solidarność”. W naszej gazecie publikuje zresztą do dziś. Jeśli ktoś posiada stare wydania „TS”, to może odnaleźć pierwszy tekst naszego autora. Było to raptem ćwierć wieku temu.

– Mając 25 lat, zobaczyłem swój tekst w gazecie, którą czytałem na studiach. Czytałem, ponieważ tam można było przeczytać teksty Zbigniewa Herberta, Waldemara Łysiaka, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Krzysztofa Kąkolewskiego – dlatego kupowało się i czytało „Tygodnik”. I nagle w tym piśmie jest również moje nazwisko. To było coś niesamowitego – wspominał Sebastian Reńca.

Później, bo w 2009 roku, ukazała się jego debiutancka książka pt. „Ślady”, a następnie spod pióra autora wyszły jeszcze „Wiktoria”, „Z cienia. Powieść o żołnierzach wyklętych”, „Spowiedź Parfena. Opowiadania katyńskie”, „Niewidzialni” i parę innych pozycji.

Podczas „Wieczoru z historią w Sali BHP” Sebastian Reńca zaprezentował swoje najnowsze publikacje.

Pierwszą z nich jest powieść historyczna pt. „Wykidajło”, która swoją premierę miała dokładnie rok temu. Jej głównym bohaterem jest włóczęga o imieniu Franz, który trafia do Polski w 1939 roku, a wojna splata jego los z agentami brytyjskiego wywiadu, szmalcownikami, NKWD i mścicielami z podziemia.

Autor wyraźnie podkreślił, że do napisania takich książek potrzebny jest jakiś impuls.

W przypadku „„Wykidajły” było nim zdanie, które przeczytał kiedyś w jednym z numerów „Kultury” paryskiej w sekcji listów do redakcji. Brzmiało ono: „Polskie Państwo Podziemne wiosną 1943 roku zdecydowało, że za szmalcownictwo będzie kara śmierci”.

– I takich wyroków wydano 11. To mną wstrząsnęło: jedenaście wyroków na szmalcowników. Znając literaturę okupacyjną, byłem wstrząśnięty, bo ten proceder był dość powszechny w War-

eprasa.pl e6696996e7

szawie, ale nie tylko. Ja donosicielstwem się brzydzę. [...] Donosicielstwo jest czymś, czego nie toleruję, czy to jest donosicielstwo w szkole, w pracy, czy w służbach specjalnych. To jest coś strasznego i działacze Solidarności o tym doskonale wiedzą. Donosicielom się nie podaje łapy i tyle. Takie mam zasady w życiu – wyjaśnił Sebastian Reńca.

To właśnie spowodowało, że powstała książka, której główny bohater Franz wykonuje wyroki śmierci na szmalcownikach, a jednocześnie pracuje jako bramkarz w warszawskiej knajpie prowadzonej pod parasolem ochronnym Abwehry. Reńca zapewnił, że tak samo jak donosicielstwa nie lubi nudy w powieściach, dlatego stara się pisać szybko i filmowo. Mówił też, że „Wykidajło" to powieść trochę łotrzykowska, a przez to, że jest pisana w pierwszej osobie, pozwala czytelnikowi identyfikować się z bohaterem.

Drugą z omawianych na spotkaniu pozycji był „Szuler. Opowieść o królu Mońku Merinie i jego poddanych". Jest to reportaż historyczny, który przenosi czytelnika do czasów niemieckiej okupacji. Sebastian Reńca opowiada w nim o losach Żydów mieszkających w gettach i obozach na wschodnim Górnym Śląsku oraz o ich enigmatycznym przywódcy Mojżeszu Merinie nazywanym „królem Mońkiem".

W tym przypadku impulsem do tego, by chwycić za pióro, była dla Sebastiana Reńcy sztuka wystawiona w sosnowieckim teatrze. Spektakl powstał bowiem na podstawie głośnego komiksu „Maus. Opowieść ocalałego".

– Wiedzą państwo, tam było napisane, że Polacy to świnie, Żydzi to myszy, Niemcy to koty – chyba. Przypomniałem sobie ten komiks po 30 latach. Przewinęło się w nim nazwisko Mojżesza Merina, więc zacząłem szukać, co to za gość. Okazało się, że był to taki sosnowiecki cwaniak, szuler, karciarz, który we wrześniu 1939 roku został szefem Judenratu, a potem szefem Centrali Rad Żydowskich całego Górnego Śląska – opisywał sylwetkę tytułowego „Szulera".

Autor wspominał też, że jego dziadkowie mieszkali kiedyś w domu, który w czasie wojny leżał na terenie getta żydowskiego. Ten dom był przeznaczony dla mniej więcej 5–6 rodzin.

– Na spisach przesiedleńczych zobaczyłem, że tam zamieszkiwało kilkadziesiąt osób i nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. To był ten impuls, który kazał mi drążyć temat dalej i dalej. I co się okazało? Gdy przeglądałem przedwojenne gazety, Merin okazał się facetem, który siedział już przed wojną za kanty, tylko że we wrześniu 1939 roku prezydent RP amnestionował skazańców, więc Merin wyszedł. Trafił do Sosnowca w momencie, kiedy Niemcy zgrupowali Żydów w halach i tam pokazali, do czego są zdolni. Po dwóch dniach zapytali: „Kto tutaj rządzi?" i zgłosił się Merin. W ten sposób został „królem" – tłumaczył pisarz.

Zwrócił też uwagę, że miasta takie jak Sosnowiec i Będzin leżały w granicach III Rzeszy, a ludzie z Krakowa czy Warszawy „płacili duże pieniądze, by uciec do królestwa Mońka Merina". Dlaczego? – O ile znamy zdjęcia z warszawskiego getta, widzimy te straszne obrazy, zagłodzone, biedne dzieci, małe trupki na ulicach... O tyle w Sosnowcu i Będzinie nie było czegoś takiego. Ci ludzie jakoś żyli – zaznaczył Reńca i dodał, że „Merin był perfidnym człowiekiem".

Miał przez to na myśli „podatki, ściąganie pieniędzy od tych, którzy byli bogaci, ściganie dziewczyn". – Facet miał swojego oficera politycznego, który szukał dziewczyn po gettach w Zagłębiu i mu je sprowadzał – wskazał autor.

Na końcu podkreślił, że ta książka jest dla niego bardzo ważna, ponieważ została nominowana – już po raz trzeci w jego karierze – do tegorocznej Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza, nagrody jego ukochanego pisarza.

„WYKIDAJŁO" TO POWIEŚĆ TROCHĘ ŁOTRZYKOWSKA, A PRZEZ TO, ŻE JEST PISANA W PIERWSZEJ OSOBIE, POZWALA CZYTELNIKOWI IDENTYFIKOWAĆ SIĘ Z BOHATEREM.

IMPULSEM DO NAPISANIA „SZULERA" BYŁA SZTUKA WYSTAWIONA W SOSNOWIECKIM TEATRZE NA PODSTAWIE GŁOŚNEGO KOMIKSU „MAUS. OPOWIEŚĆ OCALAŁEGO".

eprasa.pl e6696996e7

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski

Chwała Fryderyków, uroda topoli

Adolph Menzel malował fauny, fontanny i flotację rudy w kopalniach. Czy jego grafiki w polskich zbiorach są łupem wojennym, dziedzictwem czy po prostu dobrem kultury?

Przez wieki rysunek uważany był za „narzędzie pomocnicze malarstwa". Zaczęło się to zmieniać u progu renesansu, i odtąd coraz bardziej ceniono jako osobny talent oddzielanie płaszczyzn i kształtów ostrym, tnącym, ołówkowym czy węglowym konturem – choć im bliżej naszych czasów, tym bardziej te podziały znów przeplatały się i zacierały.

Adolph Menzel nie przestaje być podziwiany jako mistrz grafiki. W czasie, gdy wysiłek dokumentowania świata zaczynały już brać na siebie dagerotypy, on wciąż krążył po hutach i parkach, salach anatomicznych, pałacach i ogródkach piwnych. I utrwalał – niski, spięty, skupiony – wici i woluty, światłocień i gradient. Nie przestaje nas zdumiewać, że bez kliszy ani światłoczułej matrycy, pracując tylko ołówkiem, rylcem, kredką, „tintą szarą na papierze chińskim kaszerowanym", jak głoszą katalogowe opisy jego dzieł, można zatrzymać widok topoli kołyszących się w nadchodzącej burzy nad pałacowym tarasem, bryzgów fontanny i żył odpromieniowych na muskularnym przedramieniu. Można się u niego doszukiwać „dokumentalizmu" biedermeieru, ale i pragnienia oddania nieupiększonego świata, którym kierowali się naturaliści i impresjoniści: nie przypadkiem jest autorem jednego z pierwszych obrazów przedstawiających scenerię przemysłową, „Walcowni żelaza", notabene w Königshütte, czyli Chorzowie, z „cyklopami" całkiem jak z koszmarów sennych panny Izabeli Łęckiej.

To mistrzostwo daje mu wstęp do „wiecznego muzeum", pozaczasowej i ponadnarodowej galerii, gdzie można by pewnie, jakby tasowało się karty pasjansa, kłaść jego grafiki obok największego grafika kultury niemieckiej, wielkiego Dürera. Ale Menzel mocno też wpisał się w historię: sławę zyskał wielkimi cyklami litografii dokumentujących mundury, broń i czasy Fryderyka Wielkiego, którego był gorącym admiratorem, utrwalając chwałę pruskich monarchów również na wielkich płótnach. Dokumentował wojnę austriacko-pruską w 1866 r. z reporterskim niemal zacięciem. We współczesnych Niemczech

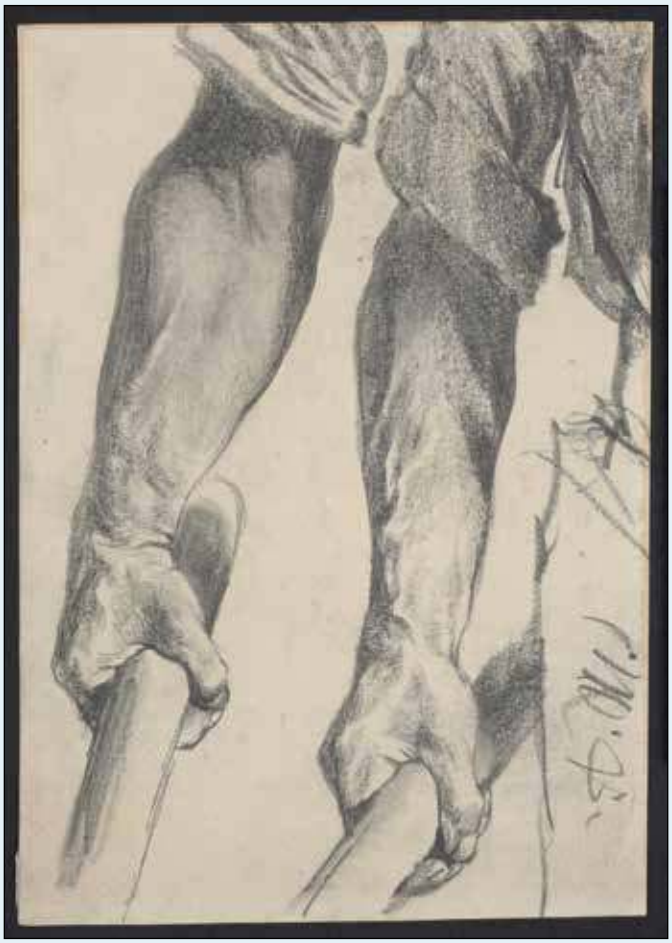

Adolph Menzel, „Dwa studia przedramienia mężczyzny", 1879, Muzeum Narodowe w Warszawie

głośne były precedensowe decyzje o zwrocie jego dzieł potomkom ofiar Zagłady, którym skonfiskowano je w latach 30. Z kolei pewien ułamek grafik i obrazów, przechowywanych na Dolnym Śląsku czy Pomorzu, przypadł po wojnie Polsce.

Zastanawia mnie w związku z tym trochę, jak wiele uwagi poświęcono na wystawie, a bardziej jeszcze w towarzyszącym jej programie spotkań, „refleksji nad historią samych dzieł sztuki i ich proweniencją", szczególnie zaś dyskusji nad „poniemieckimi" obiektami artystycznymi. Proweniencja, czyli historia własności danego dzieła sztuki, to zagadnienie fascynujące i zawsze warte dociekania. Pamiętając jednak burzę, która wybuchła rok temu w związku z planami byłego

eprasa.pl e6696996e7

już dyrektora Instytutu Pileckiego Krzysztofa Ruchniewicza, by zorganizować akurat w Berlinie seminarium dotyczące zwrotu dóbr kultury, byłbym może nieco ostrożniejszy z podejmowaniem podobnych wątków akurat w przypadku Menzela. Pół miliona dzieł sztuki, zrabowanych podczas wojny, raczej już do Polski nie wróci – zaczekajmy jednak może przynajmniej na, wymienione ostatnio we wnioskach restytucyjnych MKiDN, manuskrypty z Biblioteki Ordynacji Zamojskiej czy rękopisy „Dzienników" Stefana Żeromskiego.

„Adolph Menzel (1815–1905). Niestrudzony obserwator", Muzeum Narodowe w Warszawie, 11 września – 13 grudnia 2026; kurator Piotr Borusowski.

Adolph Menzel, „Wnętrze kościoła w Einsiedeln", 1881, Muzeum Narodowe w Warszawie

Róg Amona

Tak nazywano – bo bywa kręty jak rogi baranów, kojarzonych z tym egipskim bóstwem – hipokamp, jedną z nielicznych struktur w mózgu, których istnienia świadomy jest ktoś oprócz neurologów. Hipokamp, w odróżnieniu od zakrętu obręczy (gyrus cinguli) czy jądra międzykonarowego trafił do kultury masowej, z grubsza każdy kojarzy, że to twór w znacznej mierze odpowiedzialny za procesy zapamiętywania, a dokładniej – przenoszenia wrażeń i zranień z pamięci krótkotrwałej do długotrwałej. To tam, w niepojętej, słodkawej ciemności ściekają, jak w lejku smak irysa i szept w lesie, błysk zderzenia i blask ogniska. Tam też zdarzyć się może to, co psycholodzy nazywają blokadą lub wyparciem. Zdarzenia zbyt bolesne czasem znikają z naszej przeszłości i nie potrzeba do tego fizycznej traumy, jak przy wstrząsie mózgu, któremu towarzyszy krótkotrwała niepamięć. Po prostu – nasz umysł zachowuje się tak, jakby osłaniał zbyt straszne sceny i obrazy, nakładał na nie pokrowiec albo odwracał je plecami, zupełnie jak robią gospodarze, gdy z wizytą przychodzi do nich wrażliwe dziecko. Sęk w tym, że my sami nie przyjmujemy tej pociechy: przez resztę życia krążymy wokół odwróconego obrazu, przesłoniętej rzeźby, nie przyjmując pocieszeń, starając się dociec, co mieści się pod całunem.

Minipowieść Adama Kaczanowskiego cała niemal, można powiedzieć, zbudowana jest na tym jednym koncepcie, a w każdym razie stanowi on jej rdzeń: na mnożeniu, obsesyjnym, mrowiącym, możliwych wariantów błahego, choć symbolicznego epizodu, następującego po skrajnie dramatycznym wydarzeniu: odejściu matki, która porzuca męża i syna dla innego mężczyzny.

Oczywiście, „Antyhipokamp" odwołuje się do pamięci miejsca i czasu, dla smakoszy „nostalgii lat 80." będzie nie lada przysmakiem. Niemało tu klimatów subkultury wielkiego bloku, trochę jak w świetnych „Złodziejach żarówek" Tomasza Różyckiego sprzed trzech lat, choć u Kaczanowskiego ten blok jest tylko scenograficznym tłem – wąską klatkę, szyb windy i wykrojone w betonie przejścia, małe generatory przeciągów, można by bez trudu ustawić na scenie w kwadrans z kartongipsu. Tłem też są współczujący sąsiedzi, koledzy i panie ze sklepu, tłem są dziwne, Hass/Liebe relacje z Niemcami, skąd przywozi się albumy i czekoladki, a czasem całkiem się tam wyjeżdża. W tle jest rozpisana na wiele lat, daremnie animowana i wygasająca relacja dorosłego już narratora z matką i rozpaczliwa, dziecięca próba nadania jakiegokolwiek sensu i imienia stracie poprzez wpisanie własnego dramatu w modne wówczas, popkulturowe dzieło, czyli (melo)dramat „Sprawa Kramerów" w reżyserii Roberta Bentona, ze słynnymi kreacjami Dustina Hoffmana i Meryl Streep.

To wszystko pozostaje tłem. Na pierwszym planie powraca, kołująco, odtwarza się w kolejnych próbach wyobraźni ta jedna scena: rytualnego niemal niszczenia niechcianych, skalanych zabawek. Tylko to jest w stanie dostrzec narrator, niemal jak w tym fragmencie Herberta: „Hipiasz stoi w pierwszym szeregu żołnierzy. Widzi tylko małe usta Ifigenii, które łamią się od płaczu [...]. Raz po raz widok Hipiasza wydłuża się niepomiernie i małe usta Ifigenii zajmują ogromną przestrzeń od nieba do ziemi".

„Antyhipokamp" nie trafi być może na listy bestsellerów, nie ofiarowuje zbyt wielu przyjemności entuzjastom barwnych i soczystych fabuł. Dla mnie pozostaje niezwykłym, własnym zapisem porzucenia.

Adam Kaczanowski, „Antyhipokamp", Wydawnictwo Ha!art, Kraków 2026.

eprasa.pl e6696996e7

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **29 WRZEŚNIA** zdarzyło się:

1829 – założono Scotland Yard;

1852 – obraz Matki Bożej Licheńskiej został przeniesiony z kapliczki nadrzewnej w Lesie Grąblińskim do kościoła parafialnego w Licheniu Starym.

Działaczka Polskiej Partii Socjalistycznej – Frakcji Rewolucyjnej, a przede wszystkim odważna kobieta, Aleksandra Szczerbińska, po mężu Piłsudska; zdjęcie sprzed 1918 r.

Fot. Wikimedia Commons

eprasa.pl e6696996e7

BEZDANY 1908.
Akcja tych, którzy nie chcieli żyć w ruskim wychodku

Sosnowiecki dworzec kolejowy zapełniony był po brzegi podróżnymi. Większość z nich oczekiwała z niecierpliwością na pociąg jadący w kierunku Warszawy i dalej. Jedni sprawdzali paszporty, inni kupowali ostatnie przekąski na podróż, ktoś żegnał kogoś ze łzami w oczach. Między nimi przechadzali się żandarmi oraz kolejarze. W ten dość ciepły i słoneczny dzień młoda, na oko **dwudziestokilkuletnia kobieta przysiadła** na ławce w cieniu neoklasycznego piętrowego budynku, w którym mieściły się m.in. kasy biletowe, poczekalnie, restauracja i biuro paszportowe.

Sebastian Reńca

W pobliżu niej przysiadł gołąb i gruchając, dawał znak kobiecie, że z chęcią przyjąłby od niej jakiś poczęstunek, chociażby w postaci okruchów lub pestek słonecznika. W tym momencie zawiadowca powiadomił podróżnych donośnym głosem, że pociąg jadący do Warszawy wjedzie na peron. Kobieta wstała z ławki i podniosła z ziemi walizkę, gołąb odleciał, a pociąg wtoczył się na peron ciągniony przez lokomotywę, która wypluwała z komina kłęby dymu.

Walizka pełna dynamitu

Kobieta wsiadła do wagonu. Jakiś mężczyzna, widząc, że ma rumieńce, a pot wystąpił jej na czoło, zaproponował, że pomoże jej z walizką. Odmówiła jednak. Znalazła wolne miejsce, walizkę włożyła na półkę i usiadła. Jednak wciąż nie czuła się dobrze. W końcu zdecydowała, że musi to zrobić. Wstała i z walizką poszła do toalety. Weszła do środka i przesunęła zasuwę. Pociąg wciąż stał na peronie. Kobieta zakasała spódnicę i odpięła pas, który mało tego, że był ciężki, to ciasno ją spinał, przez co miała wrażenie, że zaraz zrobi się jej niedobrze i zwymiotuje. Pas wylądował w walizce, a ona przetarła spocone czoło i dłonie chusteczką. Wyszła i z walizką wróciła na swoje miejsce. Zanim pociąg ruszył, do jej przedziału weszło dwóch mężczyzn, którzy mieli sporo bagażu. Na szczęście żaden z nich nie ruszył jej walizki. Kobieta sięgnęła po książkę, którą nabyła za kilka kopiejek.

Pociąg ruszył w kierunku Zawiercia. Oni rozmawiali, ona czytała, ale w końcu odłożyła książkę, a miarowy stukot kół pociągu spowodował, że zasnęła. Gdy pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji, kobieta się przebudziła. W wagonie nie było ani mężczyzn, ani jej walizki!

DYNAMIT PRZEWIEZIONY W WALIZCE PRZEZ ALEKSANDRĘ SZCZERBIŃSKĄ OSTATECZNIE TRAFIŁ DO WILNA I ZOSTAŁ WYKORZYSTANY W JEDNEJ Z NAJWAŻNIEJSZYCH AKCJI EKSPROPRIACYJNEJ PPS-FR, KTÓRA ODBYŁA SIĘ W NOCY 26 WRZEŚNIA 1908 R.

Pierwsza myśl, jaka przyszła do głowy kobiecie, to uciekać, gdyż mężczyźni najpewniej byli agentami Ochrany i za chwilę ktoś przyjdzie ją aresztować. Zdenerwowana jeszcze raz spojrzała na półkę. Leżała na niej walizka, choć na pewno nie jej. „Więc może tamci zabrali bagaż przez pomyłkę?” – przeszło jej przez myśl.

Gdy nagle pojawił się konduktor, kobieta powiedziała mu, co się stało.

– A tak, wiem, gdzie są ci panowie – odparł konduktor. – Ci panowie poprosili mnie, żebym znalazł im miejsca w przedziale dla palących. Sam im przenosiłem bagaż. Ale musi pani się śpieszyć, bo oni wysiadają na tej stacji.

Kobieta rzuciła się do wyjścia. Konduktor złapał walizę i ruszył za

eprasa.pl e6696996e7

nią. Gdy oboje wyskoczyli z pociągu, mężczyźni już prawie opuszczali peron. Walizka szczęśliwie znów do niej trafiła.

Tą kobietą była działaczka Polskiej Partii Socjalistycznej – Frakcji Rewolucyjnej, a przede wszystkim odważna kobieta, która w tamtej walizce przewoziła dynamit z jednej z kopalń w Zagłębiu Dąbrowskim.

Rok wcześniej on i ona spędzili wspólnie jakiś czas w Kijowie. On miał wtedy lat 40, ona 25. On opowiadał jej o swym dzieciństwie, młodości, konspiracji, zesłaniu... Ona była w niego wpatrzona. Pewnego dnia on powiedział, że ją kocha. Ona wiedziała, że ma żonę, jednak była szczęśliwa. Po latach, opisując tamten dzień, przyzna, że jego wyznanie ją zdziwiło. „Do tej pory uważałam go za idealnego żołnierza, a tu nagle zjawiło się coś zupełnie nieoczekiwanego" – zapisała Aleksandra Piłsudska. Tym „idealnym żołnierzem" był Józef Piłsudski.

Człowiek z godnością nie niewolniczą

Ten dynamit przewieziony w walizce przez Aleksandrę Szczerbińską ostatecznie trafił do Wilna i został wykorzystany w jednej z najważniejszych akcji ekspropriacyjnej PPS-FR, która odbyła się w nocy 26 września 1908 r.

Kiedy akcja była już zaplanowana, Piłsudski usiadł i napisał list „Do Felka lub tego, co mój nekrolog pisać będzie". Tym „Felkiem" był jego towarzysz partyjny – Feliks Perl. Oryginał tego listu znajduje się w... Moskwie. Trzy dekady temu odnalazł go w jednym z tamtejszych archiwów prof. Andrzej Nowak. List ten, jak masę innych archiwaliów oraz dóbr kultury, został skradziony przez Sowietów.

To, że żaden członek komunistycznej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej nie upomniał się o to wszystko, co zrabowali Sowieci, to zrozumiałe, ale że żaden rząd ani prezydent nie upomniał się po 1989 r. o naszą – czyli polską – własność, to już skandal. Jak na razie reparacji żądamy od Niemiec, od Rosjan żądamy jedynie świętego spokoju.

Józef Piłsudski niczego od nich nie chciał prócz tego, by wynieśli się z jego ojczyzny. Miał gdzieś pracę pozytywistyczną, klękanie przed carem i bojaźń wobec kozackiego knuta, wolał z nimi walczyć piórem i rewolwerem.

Wspomniany list „Ziuka" do „Felka" jest długi, zbyt długi, jak na łamy „TS", dlatego zacytuję z niego tylko kilka fragmentów, które pozwalają nieco bardziej zrozumieć „bandytę spod Bezdan", jak wyrażali się o nim endecy, a dziś neoendecy.

Cytat I: „Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża – słyszysz! – ubliża mi, jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą. Niech inni się bawią w hodowanie kwiatów czy socjalizmu, czy polskości, czy czego innego w wychodkowej (nawet nie klozetowej) atmosferze – ja nie mogę!".

NIEKTÓRZY Z ROZPYTYWANYCH ŚWIADKÓW MÓWILI BEZ ŁADU I SKŁADU, NIEKTÓRZY TWIERDZILI, ŻE BANDYTÓW MOGŁO BYĆ AŻ SZEŚĆDZIESIĘCIU.

Cytat II: „Chcę zwyciężyć, a bez walki, i to walki na ostre, jestem nie zapaśnikiem nawet, ale wprost bydlęciem, okładanym kijem czy nahajką. Rozumiesz chyba mnie. Nie rozpacz, nie poświęcenie mną kierują, a chęć zwyciężenia i przygotowania zwycięstwa".

Tak, ludzie dzielą się na takich, którzy nie mogą żyć w zafajdanym wychodku, z butami w kałużach moczu, dlatego się buntują wobec przemocy i niesprawiedliwości; rzucają pracę, w której są traktowani jak czyściciele toalet; albo knują przeciwko opresyjnemu państwu; lub schodzą do podziemia, gdy ojczyzna traci niepodległość. Innym – co tu dużo mówić, większości – nie przeszkadza smród z wychodka, dlatego się nie buntują, gdyż od godności wolą ciepłą wodę z kranu oraz schylanie karku i przytakiwanie.

Bomby i strzały

Dochodziła godzina 23, gdy 26 września 1908 r. na niewielkiej stacji kolejowej w Bezdanach pojawiło się kilkanaście osób. Wmieszali się w tłum, jedni przysiedli i udawali, że drzemią, inny wcielił się w postać pijanego, pozostali niespiesznie spacerowali po peronie.

W końcu usłyszeli gwizd lokomotywy. Pociąg w tym czasie minął semafor i budkę zwrotniczego. W końcu skład wtoczył się ciężko na peron. Zwolnił. Zgrzytnęły hamulce i łańcuchy spinające wagony. Odezwała się trąbka. To był dla nich sygnał.

Ci, którzy jechali pociągiem, wyskoczyli na peron, ostrzegając pasażerów, by ci pod żadnym pozorem nie wychodzili. Napastnicy ruszyli do akcji. Jeden z nich próbował rozbić kijem szybę w wagonie. Walił w nią raz, drugi i trzeci, w końcu szyba pękła, ale w tym momencie żandarm wyskoczył z wagonu i strzelił. Na szczęście chybił. W tym momencie sam został trafiony w nogę i upadł. Ktoś wrzucił przez rozbitą szybę bombę. Nastąpił ogłuszający huk. Wybuch odrzucił dwóch atakujących. Do wagonu wpadła druga bomba, która znów wydała piekielny huk i zrobiła spustoszenie w wagonie. Jakby tego było mało, wciąż padały nie tylko strzały, lecz także następowały kolejne wybuchy.

Trzydziestoletni mężczyzna wpadł z latarką w dłoni do ciemnego wagonu pasażerskiego, by nim przejść do wagonu eskorty. Strach sparaliżował pasażerów. Jedynie jakaś kobieta spytała go po rosyjsku, czy nie będą już

eprasa.pl e6696996e7

rzucać bomb, jej rodak, chwyciwszy się za kieszeń z portfelem pełnym pieniędzy, prosił, aby mógł wyjść. Mężczyzna nie pozwolił mu na to, powiedział jedynie, by nikt z pasażerów się nie bał, bo w tym wszystkim nie chodzi ani o ich pieniądze, ani kosztowności. Gdy w końcu dotarł do wagonu z eskortą, poczuł smród wybuchu. W ciemności unosił się tylko dym. W zrujnowanym wagonie było kilku żandarmów i trup jednego z nich. Mężczyzna rzucił przekleństwo i kazał im otwierać. Zrobili to i wyskoczyli na peron. Mężczyzna próbował ich gonić, ale bezskutecznie.

Gdy wybuchła pierwsza bomba i posypały się pistoletowe strzały, dwóch bojowców zatrzymało naczelnika stacji, któremu kazali zaprowadzić się do swego biura, a tam przecięli przewody telegrafu i telefonu, a następnie – dla pewności – uszkodzili aparaty. Wszyscy, zarówno podróżni, jak i kolejarze oraz pracownicy stacji, zostali zgrupowani w poczekalni.

Gdy strzelanina przycichła, a dym z wybuchów opadł, do wagonu pocztowego podeszło dwóch napastników. Jednym z nich był Józef Piłsudski. Za chwilę pojawiło się przy nim dwóch innych, w tym ten, który uspokajał pasażerów.

Ci, którzy wciąż byli w wagonie pocztowym, krzyknęli, by do nich nie strzelać. W odpowiedzi usłyszeli, że mają otworzyć wagon, a jeżeli tak się nie stanie, to do środka zostanie wrzucona bomba. Piłsudski nie zdążył policzyć do dziesięciu, gdy drzwi zostały otwarte. W środku stało dwóch Rosjan z rękoma podniesionymi do góry. Piłsudski kazał ich zrewidować i odprowadzić do poczekalni. W wagonie był jeszcze urzędnik Józef Majewski, który sterroryzowany bronią powiedział, gdzie są przesyłki z pieniędzmi.

„Kilku napastników weszło do wnętrza wagonu pocztowego i tu, trzymając lufę rewolweru przy skroniach urzędnika, rozkazało mu odszukiwać listy pieniężne, według wykazu. Rabusie zabrali pieniądze zainkasowane w kasach kolejowych oraz znajdującą się w wagonie pocztowym gotówkę, w sumie około 200 000 rubli. Dokonawszy rabunku, napastnicy wsiedli do oczekujących na nich podwód, szybko odjechali i ukryli się w lesie" – relacjonował po dwóch dniach „Kurier Warszawski".

Po trzech kwadransach na stacji zapanowała cisza. Było po akcji, która rozpoczęła się o godz. 23.

Śledztwo i wyrok

Tamtej nocy pod stację podjechał pociąg kurierski jadący z Sankt Petersburga. Jego maszynista, widząc przed sobą inny skład, zatrzymał lokomotywę i wystawił głowę przez okno. Tego pociągu z Warszawy nie powinno już być na peronie, dlatego maszynista pociągnął za sznurek uruchamiający gwizd w parowozie. Pociągnął za sznurek raz, drugi i trzeci. W końcu coś się zaczęło dziać na stacji...

W AKCJI POD BEZDANAMI WZIĘŁO UDZIAŁ KILKUNASTU PEPESOWCÓW, PO LATACH CZTERECH Z NICH ZOSTAŁO PREMIERAMI.

Tego samego dnia do Bezdan przyjechał specjalny pociąg z Wilna, z którego wysiedli gubernator wileński i zwierzchnictwo żandarmerii. Wezwano na miejsce również władze policji i rozpoczęto poszukiwania rabusiów. Tym, który otrzymał rozkaz przeprowadzenia śledztwa, był prokurator Izby Sądowej. Ten w pierwszej kolejności zażądał informacji o ofiarach, a w drugiej – zaordynował przeszukanie terenu stacji oraz okolicy i przesłuchanie świadków. Na pierwszy meldunek czekał najkrócej. W dwóch rozbitych przez bomby wagonach zabity został żandarm stacji Nowo-Święciany o nazwisku Durow, ponadto ciężko rannych było 4 żołnierzy i żandarm Borysow z tutejszej stacji. Ranny był również cywil pracujący jako posługacz w wagonach osobowych pociągu.

Niektórzy z rozpytywanych świadków mówili bez ładu i składu, niektórzy twierdzili, że bandytów mogło być aż sześćdziesięciu. Na stację w Bezdanach mogli oni dotrzeć w różnych grupach, zarówno pociągiem, na który napadnięto, konno, jak i rowerami.

W końcu prokurator doczekał się również meldunku z przeszukania stacji kolejowej oraz okolicznych dróg i lasów. Policjanci i żandarmi znaleźli m.in. kilka porzuconych rowerowych lamp, sześć bomb, których napastnicy nie użyli w napadzie, oraz kilka pistoletów, amunicję do nich, pudełko z karbidem, lonty dynamitowe, przedarty bilet kolejowy, parasol oraz miejsce postoju bryczki, w którym zostało jeszcze nieco siana dla koni, oraz wiele zdeptanych niedopałków papierosów. Wkrótce aresztowano pierwszych podejrzanych...

Pięcioro, z kilkunastu biorących udział w akcji pod Bezdanami, pepesowców stanęło przed wileńskim sądem wojennym. Zostali oskarżeni o przynależność do PPS, mającej na celu powołanie do życia „drogą terroru i powstania zbrojnego samodzielnej Polskiej Republiki". Wyrok zapadł niemal rok po akcji. 29 września 1909 r. dwóch „terrorystów" skazano na śmierć, dwoje na katorgę, a w przypadku piątego pepesowca – sąd uznał go za obłąkanego. Ostatecznie sąd kasacyjny zamienił wyroki śmierci na dożywocie, ale wszyscy skazani wyszli na wolność w 1917 r.

W akcji pod Bezdanami wzięło udział kilkunastu pepesowców, po latach czterech z nich zostało premierami: Józef Piłsudski, Walery Sławek, Aleksander Prystor i Tomasz Arciszewski.

eprasa.pl e6696996e7

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

Pracownicy zdecydują w referendum. GROŹBA STRAJKU W BIEDRONCE

Solidarność przygotowuje się do przeprowadzenia referendum strajkowego w sieci sklepów Biedronka. Spotkanie mediacyjne „ostatniej szansy”, które odbyło się 16 września w Warszawie, trwało około pół godziny i zakończyło się fiaskiem.

– Po raz kolejny okazało się, że pracodawca nie ma zamiaru rozmawiać o naszych postulatach, mimo że my byliśmy gotowi do kompromisu w wielu kwestiach. Kontynuowanie negocjacji w takiej formule jest niemożliwe, dlatego jesteśmy zmuszeni do przeprowadzenia referendum strajkowego – powiedziała Gabriela Kaim, liderka Solidarności w Biedronce, po zakończeniu spotkania.

Spór zbiorowy w Biedronce działacze Solidarności prowadzą od lutego. Związkowcy domagają się wyższych wynagrodzeń dla pracowników, wprowadzenia premii frekwencyjnej, zwiększenia obsady w sklepach oraz skrócenia godzin pracy placówek do godziny 22.

– Codziennie dostajemy dziesiątki telefonów od pracowników z całej Polski. Ludzie mają dość pracy ponad siły i niskich wynagrodzeń. Odkąd pamiętam, w Biedronce jeszcze nigdy nie było tak źle i jeszcze nigdy nie było tak dużej determinacji pracowników, żeby w końcu upomnieć się o swoje prawa – zwróciła uwagę przewodnicząca Kaim cytowana przez portalspozwyczy.pl.

Fot. arch. „TS”

ZAWARTO POROZUMIENIE W SIARKOPOLU

O tym, że referendum jest skuteczną formą nacisku, przekonano się właśnie w Siarkopolu, w którym zakończył się trwający od maja spór zbiorowy.

Niedawno, 17 września, podpisano tam porozumienie pomiędzy pracodawcą a związkami zawodowymi, w którym ustalono wypłatę dwóch zaległych nagród barbórkowych oraz wzrost wynagrodzenia dla pracowników firmy.

– Już w listopadzie pracownicy otrzymają pierwszą zaległą nagrodę. Kolejna zostanie im wypłacona do połowy przyszłego roku. Pozostałe świadczenia również powrócą dzięki odwieszeniu ZUZP od 1 stycznia 2027 roku. Również od przyszłe-

eprasa.pl e6696996e7

Fot. arch. „S”

„Moja głodówka jest krzykiem, którym mam nadzieję poruszyć polskie sumienia, jest wołaniem o działanie. Tak rozumiem swój obowiązek wobec przeszłych i przyszłych pokoleń, który podjąłem w latach 70., angażując się w działalność w Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża”.

oświadczenie Jana Karandzieja z 8 września br.

go roku nastąpi wzrost wynagrodzenia dla wszystkich pracowników spółki Siarkopol – przekazał Paweł Dendera, szef zakładowej Solidarności.

Umowa oznacza, że w Siarkopolu nie dojdzie do strajku, choć istniało takie ryzyko. Od 10 do 11 września Solidarność przeprowadziła w firmie referendum strajkowe, w którym wzięło udział 77 procent załogi, tj. prawie 500 pracowników. Aż 98 procent głosujących opowiedziało się za przeprowadzeniem akcji strajkowej.

– Wynik referendum był naszą potężna kartą przetargową, która pomogła nam w zawarciu tego porozumienia. To był znak, że załoga mówi poważnie o strajku – zaznaczył przewodniczący Dendera.

POBIEGŁ DLA CHORYCH DZIECI

Pracownik Huty Katowice i członek Solidarności Damian Mikos przebiegł ok. 270 kilometrów, by wesprzeć charytatywną zbiórkę na rzecz ciężko chorych dzieci. Pokonanie trasy zajęło mu nieco ponad 51 godzin. Był to czwarty wynik w biegu pod nazwą Ultra Wyrypa 270 km, który startuje i kończy się w sanockim Skansenie, a po drodze obejmuje szczyty m.in. Bieszczad czy Gór Sanocko-Turczańskich.

Mikosa w sportowej pasji wspiera zakładowa Solidarność, dlatego zawodnik w trakcie biegu miał na sobie związkową koszulkę. „S” dofinansowała na przykład jego zagraniczne wyjazdy na zawody. Damian zadedykował swój bieg dzieciom z Fundacji „Nasze Dzieci”.

GÓRY PRZEKLĘTE

Daleką drogę przebyli także Michał Ossowski i Grzegorz Zawadzki z Fundacji Promocji Solidarności, którzy na motocyklach pokonali trasę z Polski do Albanii, mijając po drodze między innymi Chorwację i Czarnogórę. Ostatecznie dotarli do albańskiej przełęczy Thore w Górach Przeklętych, gdzie rozpostarli flagę NSZZ „Solidarność”.

GŁOS „S” NA EUROPEJSKIM FORUM

Przewodnicząca Solidarności w polskim Amazonie Agata Wypiór została wybrana na przedstawicielkę naszego kraju w Europejskiej Radzie Zakładowej Amazon. Razem z nią w Radzie znajdą się jeszcze dwie inne panie – Patrycja i Agnieszka.

„Przed nami kolejny etap pracy. Chcemy, aby głos pracowników z Polski był słyszany także na poziomie europejskim – niezależnie od magazynu, działu czy stanowiska. Nie zwalniamy tempa. Nadal zapraszamy Was do współpracy, rozmowy i wspólnych działań na rzecz wszystkich Pracowników Amazon w Polsce. Razem mamy silniejszy głos – w Polsce i w Europie” – napisali działacze „S” w Amazon Polska.

NOWY POMNIK BŁ. KS. POPIEŁUSZKI

Na odbywającej się 17 września sesji Rady Miejskiej Wrocławia przyjęto dwie uchwały istotne z punktu widzenia Solidarności.

Pierwsza z nich dotyczy upamiętnienia ks. Stanisława Orzechowskiego, który zostanie patronem skweru położonego w pobliżu Dworca Głównego od strony ulicy Peronowej.

W drugiej uchwale radni przychylili się do inicjatywy wzniesienia pomnika bł. ks. Jerzego Popiełuszki. Monument ma stanąć na skwerze przy Placu Katedralnym w bezpośredniej bliskości Katedry św. Jana Chrzciciela, a jego koszt zostanie pokryty ze środków własnych Społecznego Komitetu Budowy Pomnika.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

3.10.1980 – w proteście wobec wstrzymywania realizacji Porozumień Sierpniowych odbywa się trwający godzinę ogólnopolski strajk ostrzegawczy;

2.10.1981 – na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność” przyjęty zostaje statut Związku;

5.10.1983 – Lechowi Wałęsie zostaje przyznana Pokojowa Nagroda Nobla.

eprasa.pl e6696996e7

GŁOS REGIONU

Rozmowy, których brakuje: Statystyki ważniejsze niż zdrowie

Paweł Wysocki, Region Jeleniogórski NSZZ „Solidarność”

Na korytarzach naszych zakładów pracy coraz częściej dochodzi do sytuacji, o których wszyscy wiedzą, ale głośno mówi się o nich dopiero wtedy, gdy jest już za późno. Obserwujemy właśnie nowy, niezwykle niebezpieczny trend, który powoli staje się cichą normą w wielu branżach. Pracownicy ulegają wypadkom na stanowisku pracy – doznają urazów, złamań, poparzeń czy uszkodzeń kręgosłupa – ale z obawy przed konsekwencjami nie zgłaszają tych zdarzeń. Co gorsza, pod presją kierowników lub behapowców godzą się na fikcję: piszą oświadczenia, że do zdarzenia doszło w drodze do pracy. Czas nazwać rzeczy po imieniu. To nie jest drobny kompromis dla świętego spokoju. To niebezpieczny precedens, w którym za premie dyrekcji płaci się własnym zdrowiem.

Psychologia zastraszenia i fałszywych obietnic

Jak dochodzi do tego, że dorosły, racjonalny człowiek zgadza się na sfałszowanie dokumentacji własnego wypadku? Mechanizm psychologiczny jest tu skrajnie prosty i opiera się na żonglowaniu lękiem oraz poczuciem winy. Zaraz po zdarzeniu, gdy pracownik jest w szoku i odczuwa silny ból, pojawia się przełożony lub przedstawiciel służby BHP. Umiejętnie podsuwają narrację: „Po co nam protokół powypadkowy? Będą kontrole z PIP-u, zabiorą całemu działowi premię za brak wypadków, a i Ty możesz mieć problemy, bo pewnie nie dopilnowałeś procedury”.

Do tego dochodzi finansowa manipulacja. Pracownikowi obiecuje się ciche rekompensaty – dodatkową premię uznaniową pod stołem, płatny urlop lub pokrycie części kosztów leczenia. Zastraszony i obawiający się utraty pracy człowiek ulega. Zamiana „wypadku przy pracy” na „wypadek w drodze do pracy” wydaje się wtedy najprostszym wyjściem. To jednak śmiertelna pułapka. Gdy po kilku miesiącach wychodzą powikłania zdrowotne, a ubezpieczyciel odmawia odszkodowania, kierownik odwraca wzrok, a zapomogowe obietnice znikają. Pracownik zostaje sam: bez zdrowia, bez należnych świadczeń i bez jakiejkolwiek ochrony prawnej.

Ta cyniczna gra ma tylko jednego wygranego – jest nim kadra zarządzająca. Kolorowe wykresy w prezentacjach dla zarządu pokazują idealne wskaźniki bezpieczeństwa. Firma chwali się tysiącem dni bez wypadku, dyrektorzy odbierają nagrody za świetne zarządzanie ryzykiem, a w rzeczywistości na hali czy w biurze ludzie pracują na niesprawnym sprzęcie lub pod nieludzką presją czasu. Tuszowanie wypadków to prosty przepis na tragedię. Skoro zdarzenie nie trafia do oficjalnych rejestrów, pracodawca nie ma obowiązku usuwania jego realnych przyczyn. Maszyna, która uszkodziła rękę jednemu pracownikowi, jutro może pozbawić życia drugiego.

Nie tuszuj prawdy!

Rozejrzyj się dzisiaj po swoim dziale. Jeśli wiesz o kimś, kogo namawia się do zatajenia wypadku, nie pozwól mu zostać z tym samemu. Przyprowadź go do biura Solidarności. Pamiętajmy o fundamentalnej prawdzie: zdrowie i życie pracownika są bezwzględnie nadrzędne wobec każdego wskaźnika korporacyjnego. Statystyki firmy można poprawić w jeden dzień, straconego zdrowia nie odbuduje się nigdy. Bezpieczną przyszłość buduje się tylko na prawdzie i wzajemnym wsparciu, ramię w ramię, bez ulegania szantażowi.

Rubryka „Głos Regionu” ukazuje się cyklicznie w „TS”. Zapraszamy inne regiony NSZZ „Solidarność” do nadsyłania własnych propozycji.

eprasa.pl e6696996e7

PRAWO

„TO TYLKO PIWO BEZALKOHOLOWE”. Czy sprzedawca może odmówić sprzedaży nastolatkowi?

Mój 16-letni syn chciał kupić w sklepie piwo 0,0%. Sprzedawca odmówił, mówiąc, że osoby poniżej 18. roku życia nie mogą kupować piwa, **nawet jeśli jest ono bezalkoholowe**. Czy miał do tego prawo?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

To pytanie może zaskoczyć zarówno rodziców, jak i sprzedawców. Okazuje się bowiem, że piwo „zero” nie jest z punktu widzenia prawa tym samym, co zwykłe piwo. Ustawa o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi zakazuje sprzedaży napojów alkoholowych osobom, które nie ukończyły 18 lat. Problem w tym, że za napój alkoholowy ustawa uznaje produkt zawierający więcej niż 0,5 proc. alkoholu. Piwo bezalkoholowe, którego zawartość alkoholu nie przekracza 0,5 proc., nie jest więc napojem alkoholowym w rozumieniu tej ustawy. Dotyczy to również popularnych produktów oznaczonych jako „0,0%”. Krajowe Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom (KCPU) potwierdza, że przepisy dotyczące zakazu sprzedaży alkoholu osobom niepełnoletnim nie obejmują takich produktów. Czy oznacza to, że 16-latek ma pełne prawo kupić piwo „zero”? W świetle samego zakazu sprzedaży alkoholu nie ma przepisu, który zabraniałby mu takiego zakupu. I właśnie tutaj pojawia się jeszcze jeden, bardzo ciekawy przepis, tj. art. 135 Kodeksu wykroczeń. Stanowi on, że osoba zajmująca się sprzedażą towarów w przedsiębiorstwie handlu detalicznego, która umyślnie, bez uzasadnionej przyczyny, odmawia sprzedaży towaru przeznaczonego do sprzedaży, może odpowiadać za wykroczenie. Czy zatem sprzedawca, który mówi: „Nie sprzedam ci, bo masz 16 lat”, popełnia wykroczenie? Nie można odpowiedzieć na to pytanie automatycznie: „Tak”. Wszystko zależy od tego, czy w konkretnym przypadku istniała „uzasadniona przyczyna” odmowy. Sam fakt, że produkt przypomina zwykłe piwo, nie zmienia jednak jego prawnej kwalifikacji. Jeżeli jest to rzeczywiście napój bezalkoholowy, nie można po prostu zastosować do niego zakazu sprzedaży alkoholu osobom poniżej 18 lat. Co ciekawe, sprawa ma także drugi wymiar. KCPU wskazuje, że sprzedaż piwa bezalkoholowego osobom nieletnim może budzić wątpliwości wychowawcze, ponieważ spożywanie przez dzieci i młodzież produktów przypominających alkohol może sprzyjać kształtowaniu późniejszych nawyków konsumpcji alkoholu. Mamy więc sytuację, w której prawo i względy wychowawcze niekoniecznie prowadzą do tej samej odpowiedzi. Z prawnego punktu widzenia 16-latek nie kupuje alkoholu, jeżeli sięga po piwo 0,0%. Sprzedawca nie może więc powołać się na ustawowy zakaz sprzedaży alkoholu niepełnoletnim. Z drugiej strony nie każda odmowa sprzedaży musi od razu oznaczać popełnienie wykroczenia – trzeba ocenić, czy sprzedawca miał konkretną i uzasadnioną przyczynę odmowy.

Krótko mówiąc: piwo „zero” nie jest prawnie piwem alkoholowym, a to oznacza, że 18 lat nie jest ustawową granicą jego zakupu. Jeśli jednak sprzedawca odmawia sprzedaży, pozostaje pytanie, czy ma ku temu rzeczywiście uzasadnioną przyczynę. I właśnie tutaj zaczyna się najciekawszy problem prawny.

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl e6696996e7

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

Nasi autorzy

Cezary Krysztopa (Władcy..., s. 37), zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność" i spiritus movens portalu Tysol.pl. Z wykształcenia architekt (jego projekty można podziwiać także w Warszawie). Z zamiłowania rysownik. Z powołania polemiczny publicysta. W naszym tygodniku od 2014 roku. Od lat namawiany na wydanie swoich legendarnych „Opowieści podlaskich".

Jakub Pacan (Bolączki..., s. 12), dziennikarz „TySola" od 2018 roku. Pisze o polityce, religii oraz... lasach.

Wojciech Stanisławski (Czytam..., s. 64), historyk, publicysta i krytyk literacki. Współtwórca Muzeum Historii Polski. „Listy 1969–1996. Jerzy Giedroyc, Michaił Heller" (UKSW, 2023) to jego najnowsza książka.

Mariusz Staniszewski (Suwerenność..., s. 34), autor był w przeszłości członkiem zarządu Polskiego Radia, zastępcą redaktora naczelnego „Wprost", publicystą tygodnika „Do Rzeczy" i szefem działu krajowego w „Rzeczpospolitej". Jego najnowsza książka to „Wyższe Sfery" (Zysk i Sk-a, 2025).

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl e6696996e7

WYDANIE SPECJALNE

ŻOŁNIERZE WYKLĘCI

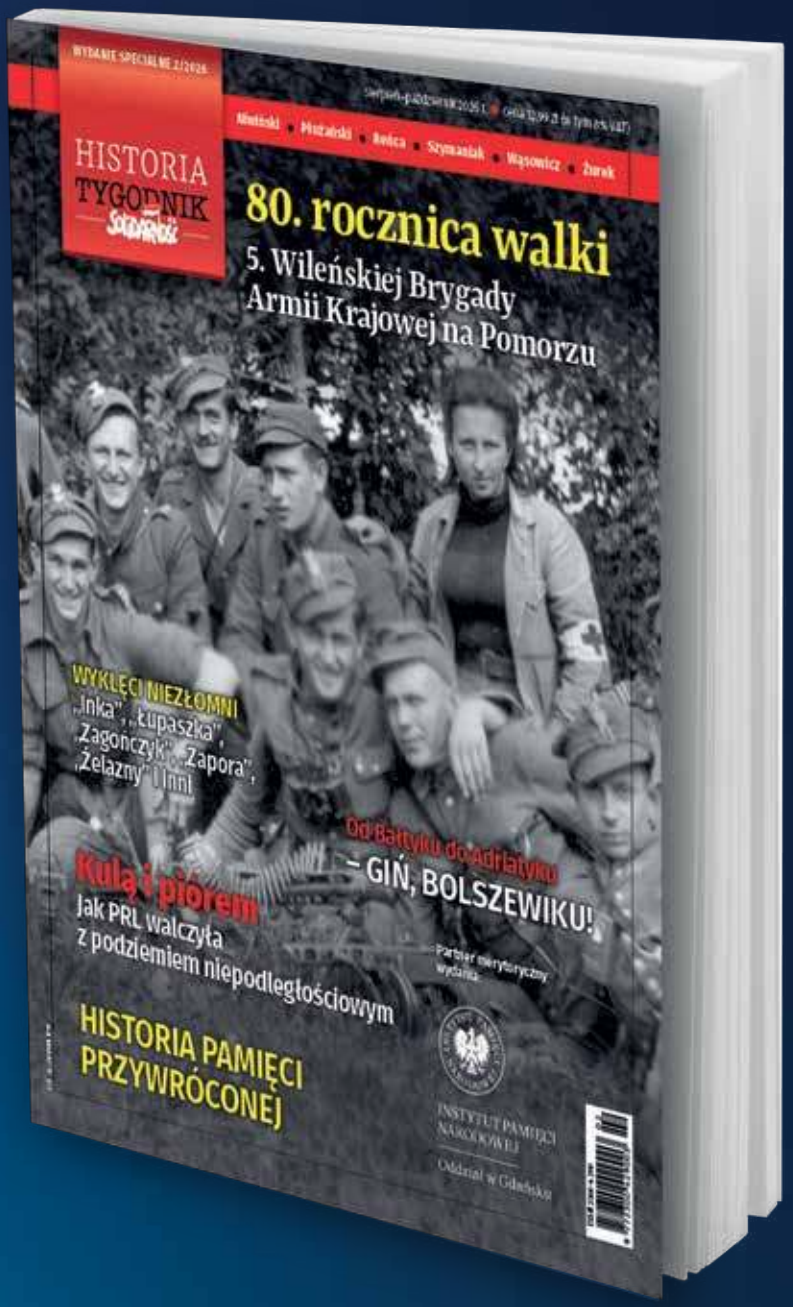

DO KUPIENIA NA WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL,
W EMPIKACH I W WYBRANYCH SALONACH PRASOWYCH

eprasa.pl e6696996e7

Międzynarodowa konferencja

SOLIDARNOŚĆ PONAD GRANICAMI

w 45. rocznicę przyjęcia „Posłania do ludzi pracy Europy Wschodniej" przez I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność"

Historyczne tradycje i współczesne wyzwania w Europie Środkowej i Wschodniej

Gdańsk, Sala BHP ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6

30 września 2026 r. godz. 11.00–16.30

WSTĘP WOLNY

Patronat

KPRP Patronat Kancelarii Prezydenta RP

Organizator:

Fundacja Promocji Solidarności

Partnerzy:

NSZZ Solidarność

Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Gdańsku

Instytut Międzymorza

Patroni medialni:

Tygodnik Solidarność, tysol.pl, SIECI, wPolityce.pl, wPolsce24, Do Rzeczy, trojmiasto.pl